Cena 7 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III | Łódź, 24 marca 1946 r. | Nr 11 (39)

STANISŁAW CIEŚLAK

O przebudowę rynku rolniczego

Fragment referatu wygłoszonego na kongresie ZSCh w dn. 11 marca 1946 r. w Warszawie

1. WPŁYW STRUKTURY ZAWODOWEJ

Opłacalność rolnictwa zależy w dużym stopniu od struktury zawodowej. W krajach, w których większość ludności zajmuje się rolnictwem nie ma komu sprzedawać artykułów żywnościowych, bo większość ludności ma własne, stąd cena na artykuły rolnicze, których jest dużo, musi być niska. Należy również pamiętać o tym, że w krajach o przewadze ludności rolniczej, dochód z uprawy ziemi i z hodowli dzieli się między większą liczbę osób niż w krajach uprzemysłowionych, gdzie ludność rolnicza nie stanowi większości.

Najlepszym przykładem jest tu Dania, gdzie opłacalność rolnictwa jest bardzo wysoka, a gdzie według spisu ludności w r. 1940

w rolnictwie pracowało	28%	ludności
w przemyśle i rzemiośle	33%	ludności
w innych zawodach	39%	ludności

W Danii na 1 rolnika przypada 3 nierolników, którzy kupują od niego artykuły żywnościowe. W Niemczech przed wojną na 1 rolnika przypadało 4 nierolników. W Polsce przedwojennej 3 rolników żywiło 2 nierolników. Obecnie jednak, dzięki odzyskaniu przez Polskę wysoko uprzemysłowionych obszarów na Zachodzie, stosunek ten ulegnie w najbliższym czasie poprawie na korzyść rolnictwa. Niedalekim jest moment, gdy na 1 rolnika w Polsce przypadnie 1 nierolnik.

Pierwszym zatem warunkiem opłacalności rolnictwa w Polsce jest rozwój przemysłu, który ściągnie z przeludnionej wsi nadwyżkę ludności i stworzy większe zapotrzebowanie na artykuły rolnicze. Ofiary ponoszone przez wieś na rozbudowę przemysłu stokrotnie się opłacą w najbliższej już przyszłości.

2. PRZEJĘCIE PRZEMYSŁU ROLNEGO

Dla gospodarstwa chłopskiego nie jest sprawą obojętną, czy produkty swoje oddaje w stanie surowym, czy przerobionym, chodzi o to, aby cały zysk z przeróbki płodów rolnych pozostał w ręku rolnika, albo jego spółdzielczych organizacyj. Opłacalność pracy rolnika jest większa, jeśli dostarcza miastu chleb lub conajmniej mąkę, a nie surowe ziarno. Jeśli dostarcza krochmal, płatki kartoflane lub spirytusowe a nie surowe kartofle. Inną cenę uzyskuje rolnik za słomę lnianą, inną za włókno czesane lub choćby trzepane.

Nic więc dziwnego, że Związek Samopomocy Chłopskiej, jako organizacja zawodowa rolników, w interesie rolnictwa zabiega o przejmowanie przez chłopów przemysłu rolnego, dąży do jego rozbudowy, bo przemysł rolny posiada poważne znaczenie dla podniesienia opłacalności rolnictwa. Rząd demokratyczny wychodzi na przeciw tym żądaniom mas chłopskich, dekret o przekazywaniu resztówek z 12 czerwca 1945 r. oddaje w ręce spółdzielczości chłopskiej, w ręce spółdzielczości Samopomocy Chłopskiej wszystkie resztówki ze znajdującym się na nich przemysłem rolnym. Przejęliśmy już przeszło 200 gorzelni rolniczych, przeszło 1000 młynów, paręset piekarni, wiele olejarni, krochmalni, mleczarni, browarów i innych zakładów przemysłowych, wartości wielu miliardów złotych. Na ziemiach odzyskanych czeka na przejęcie 1250 większych młynów, 200 większych mleczarni, 1230 gorzelni rolniczych, wiele krochmalni, browarów, przetwórni owoców i warzyw.

Dekret z dnia 3 stycznia 1946 r. o upaństwowieniu przemysłu przewiduje przekazanie zrzeszeniom rolników wszystkich cukrowni, browarów, gorzelni przemysłowych, przetwórni, chłodni itp.

Przejęcie tego olbrzymiego majątku w ręce chłopów zależy z jednej strony od sprawności organizacyjnej zarządu spółdzielni, które po chłopsku, po gospodarsku muszą się przygotować do prowadzenia tych zakładów, a z drugiej strony od naszej czujności w pilnowaniu własnych interesów. Nie jest bowiem tajemnicą, że rozkazy demokratycznego rządu nie są nieraz wykonywane przez różnych byłych obszarników, spekulantów i fabrykantów, którzy zakradli się do aparatu państwowego i szkodzą interesom mas chłopskich.

Tak, jak przełamaliśmy wszystkie opory i przeprowadziliśmy zarówno reformę rolną, jak i upaństwowienie przemysłu, tak przełamiemy i te trudności, przejmiemy cały przemysł rolny w swoje ręce, bo taka jest wola rządu demokratycznego, bo taka jest wola mas chłopskich.

3. USUNIĘCIE ZBĘDNEGO POŚREDNICTWA

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że ceny płacone rolnikowi są o wiele niższe od tych cen, jakie za te same artykuły płaci spożywca w mieście. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że łańcuch pośrednictwa obecnie nie jest wcale mniejszy niż przed wojną, kiedy chłop za jajko otrzymywał 3 gr, a w mieście to jajko kosztowało 20 gr. Podobnie ma się rzecz z artykułami przemysłowymi, które wędrują z miasta do wsi przez wiele rąk i kosztują na wsi nieraz trzy i czterokrotnie tyle co w mieście. Dość wymienić przykładowo sól, która sprzedawana była w Wieliczce po 1 zł kg, a na wsi dochodziła do ceny 30 i więcej złotych. Zdajemy sobie sprawę, że do podrożenia tych artykułów przyczynia się w znacznym stopniu brak i złe funkcjonowanie transportu, i dlatego na innym miejscu domagamy się uwzględnienia w planie inwestycyjnym w pierwszym rzędzie rozbudowy dróg kołowych, żelaznych i wodnych, ale stoimy twardo na stanowisku że zarobek pośrednika nie może przekraczać 10% wartości towaru.

Dlatego Związek Samopomocy Chłopskiej taką wagę przypisuje do rozbudowy spółdzielczości chłopskiej, spółdzielczości Samopomocy Chłopskiej, która w swoje ręce powinna wziąć wymianę towarową między wsią i miastem — bo usunięcie zbędnego i kosztownego pośrednictwa zwiększy opłacalność rolnictwa w Polsce.

Jeśli chłopi masowo staną się członkami tych spółdzielni, jeśli będą czuwać nad ich prawidłową i zgodną z interesem mas chłopskich działalnością i jeśli co najważniejsze, co wysuwamy jako czołowe hasło spółdzielcze na rok bieżący, że chłop kupuje i sprzedaje za pośrednictwem swojej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej — to wtedy możemy być pewni, że wszystkie zyski z pośrednictwa, jakie dziś zgarniają spekulanci i szmuklerzy, pozostaną w kieszeni chłopa, a to nie są sumy bagatelne, to sumy idące w miliardy złotych.

4. ZWIĘKSZENIE PRODUKCJI ROLNEJ

Wielu ludziom i na wsi i w mieście wydaje się, że najprostszym wyjściem z ciężkiej sytuacji jest podniesienie cen żywności i zwiększenie płac w mieście. Naiwne to stanowisko. Jeśli na rynku jest mało żywności, jeśli na rynku jest mało artykułów przemysłowych, to drukowanie pieniędzy i podnoszenie cen wcale tych ilości nie zwiększy, a wprowadzi tylko nieład i zamieszanie, z którego korzystają tylko spekulanci. Chłop dobrze pamięta okres inflacji markowej, czy okres „młynarek" w czasie okupacji niemieckiej, kiedy posiadał dużo pieniędzy, za które mało co można było kupić.

Jeśli natomiast robotnik będzie produkował więcej, jeśli chłop zbierze więcej z pola, to wtedy można zwiększyć obieg pieniędzy, można zwiększyć płace i zarobki, bo każda nowa złotówka wypuszczona z Banku Narodowego ma pokrycie w towarze, który jest na rynku.

Musimy planować na dłuższą metę. Gospodarka światowa i wymiana międzynarodowa będzie się niewątpliwie usprawniać i myśląc o opłacalności rolnictwa musimy pamiętać i o tym, że w niektórych gałęziach rolnictwa jesteśmy bez konkurencji, w innych natomiast możemy być pobici na głowę.

To, że w Polsce najbardziej rozpowszechnione są najmniej opłacalne gałęzie rolnictwa nie jest przypadkiem. Byliśmy bowiem zależni od kapitału międzynarodowego, który dla siebie rezerwował najlepsze kąski, a nam pozostawiał najmniej zyskowne zajęcia.

Po drugie: w żadnej dziedzinie życia nie ma postępu bez specjalizacji i podziału pracy. Specjalizacja i podział pracy pozwalają produkować więcej, szybciej i taniej. Do odległej przeszłości należą w większości państw na świecie czasy, kiedy gospodarstwo rolne produkowało wszystko co człowiekowi do życia potrzebne, kiedy rolnik musiał być jednocześnie i tkaczem, i kowalem, i kołodziejem, i zdunem, i murarzem i jednocześnie znać się na wszystkich gałęziach rolnictwa. Stoimy na stanowisku, że specjalizacja gospodarstw chłopskich jest podstawowym warunkiem ich opłacalności. Jednorodzinne gospodarstwo chłopskie, aby zapewnić właścicielowi i jego rodzinie stopę życia godną człowieka, musi być wyspecjalizowane i nastawione na najbardziej opłacalne w naszych warunkach uprawy i hodowle.

Po trzecie: Gospodarka naturalna bez specjalizacji była w warunkach przedwojennych instynktowną obroną chłopa, który nigdy nie wiedział na czym zarobi, a na czym straci i dlatego starał się mieć w swym gospodarstwie wszystkiego po trochu.

Obecnie wchodzimy w okres gospodarki planowej, gospodarki uporządkowanej. Rolnik — producent będzie pracował dla określonego rynku, będzie miał zapewniony z góry zbyt na owoce swej pracy i zapewnioną jej opłacalność.

Kontraktowanie upraw i hodowli, wypróbowane już od dawna przed wojną na odcinku buraka cukrowego, będzie niewątpliwie rozszerzone na wszystkie podstawowe gałęzie produkcji rolnej. W roku bieżącym Związek Samopomocy Chłopskiej podjął próbę kontraktowania hodowli trzody chlewnej, uprawy roślin włóknistych i oleistych.

Zastosowanie tych zasad natrafia jednak na duże opory. Państwo kontraktując np. uprawę lnu i konopi, nie docenia konieczności zapewnienia rolnikowi pełnej opłacalności jego pracy, co jest najpewniejszą rękojmią zwiększenia obszaru zasiewu i dostarczenia przemysłowi dostatecznej ilości surowca. Tego rodzaju krótkowzroczność gospodarcza, jak wykazała próba skupu surowca tytoniowego w tym roku, po cenach nieopłacalnych dla producenta, daje ujemne skutki gospodarcze.

Słuszność stanowiska rolnictwa popiera również i fakt, że wyższa, opłacalna zapłata za zakontraktowane i dostarczone ziemiopłody, czy zwierzęta jest wypłacona częściowo w naturze dopiero po nowych zbiorach, po przerobieniu surowca i wymaga tylko skromnego zaliczkowania z bieżących, szczupłych zapasów, jakimi dysponuje przemysł państwowy.

Kontraktowanie wymaga nie tylko zaliczkowania przy umowie, ale również zaopatrzenia rolnika na kredyt w materiał: siewny, nawozy i narzędzia — jeśli chodzi o uprawę roślin, lub w materiał budowlany i paszę — jeśli chodzi o hodowlę zwierząt.

Tutaj olbrzymia rola przypada spółdzielniom Samopomocy Chłopskiej. One właśnie powinny rozprowadzać materiał siewny, nawozy, narzędzia, materiał budowlany i paszę i następnie skupywać z ramienia państwa zakontraktowane artykuły rolne i poddawać je uszlachetniającej przeróbce we własnych zakładach przemysłu rolnego.

Większość kredytów inwestycyjnych i kredytów obrotowych, jakie przewidujemy, w wysokości powyżej stu milionów złotych, dla spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w najbliższym tylko kwartale, będzie przeznaczona na to, aby przygotować nasze spółdzielnie do skupu i zaopatrywania gospodarstw chłopskich. W ten sposób przez kontraktowanie uprawy i hodowli za pośrednictwem Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej i przez szerzenie oświaty fachowej rolniczej za pośrednictwem Związku Samopomocy Chłopskiej spodziewamy się szybkiej specjalizacji gospodarstw chłopskich, a co za tym idzie zwiększenia ich opłacalności.

Z WYSTAWY PRAC MALARSKICH J. MIERZEJEWSKIEGO



Patrz artykuł na str. 6-ej: „Nowy realizm malarski"

ANTONI OLCHA

Wczoraj *)

Ze Wschodu na Zachód przebiega przez wieś stary gościniec podkarpacki, łączący tereny naftowe Środkowej Małopolski ze Śląskiem. Na przestrzeni około dwóch km przez luboński kraniec wioski przewija się odcinek autostrady Kraków — Zakopane. Ciemny, błyszczący matowo w jarzeniu górskiego słońca pas asfaltu nurkuje w sosnowej i świerkowej zieleni. W czystym oramieniu drzew mienią się kolorowe widoki chłopskich sadyb, rozrzuconych wśród grzbietów, dolin i garbów ogromnej miski babiogórsko-lubońskiej i gorzeckiej. Stąd okolica prezentuje się oczom przejezdnych najpiękniej. Ale nie tylko obcym oczom. Bywa, że w letnie niedzielne popołudnia ciągną ku wierchom Małego Lubonia gromadki kobiet, dzieci, czasami starszych chłopów. Idą zbierać grzyby, jagody i... „popatrzeć z wysoka na świat". Albowiem nieprawdą jest, że chłopi „nie spostrzegają" piękności krajobrazu, jak to się czasem czyta w książkach.

— Jako żołnierz poznałem bogatą dziewczynę w jednej z lubelskich wiosek — opowiadał kiedyś Walenty Mirek „od gościńca". — Lubiłem ją i mogłem się z nią ożenić. Gospodarkę miała dużą, a ziemia tam tłusta i rodzi nie tak, jak nasza!... Mógłbym całe życie jeść biały chleb!...

— No to czemuście się tam nie ożenili?

— Bo musiałbym tam zostać na zawsze. A ja wolałem swoje trzy morgi i biedę, ale tu, w naszych górach. Taki to rozum, wiecie...

Dopóki była chociażby iskra nadziei na przeżycie w rodzinnych stronach — chłop powracał tu najczęściej. Nieraz dawno już o niejednym we wsi zapomniano, a on się zjawiał niespodzianie, przybywając z Ameryki, Francji, Niemiec lub Węgier.

Umiłowanie ziemi dla jej piękna i dlatego, że to jest ziemia ojców - praojców, odgrywa niemniejszą rolę od przywiązania do niej ze względu na plony, jakie wydaje.

Musiało dobrze dogryźć właścicielowi kilkumorgowej biedy, nim ją opuścił, nim ruszył w daleki świat. Lub też świat ów nieznany musiał mu się przedstawić w wyobraźni tęczami fantastycznych uroków, musiał obudzić ukrytą energię twórczą, przemożną chęć zabłyśnięcia niezwykłymi osiągnięciami...

Mało zbadane są bogate tajniki chłopskich serc i myślenia.

Mało znany jest i samym chłopom wichrowaty nurt potężnej siły pełnego życia, ograniczonej i duszonej w ciągu długich wieków, a wczoraj i dziś wydostającej się na powierzchnię, szukającej sposobnego łożyska.

— W Ameryce, — opowiadał stary Andrzej Bal, — jadłem chleb i mięso. Ale tam nie miałem takiego podsadzia, jak to, ani takiej jabłonki, żeby pod nią usiąść w niedzielę na trawie.

— Na trawie!... — oburzała się żona Bala Ulina. — W Ameryce nie ma takiej trawy, jak u nas. Jest trawa, ale inna.

Wracało chłopstwo z dolarami, zarobionymi krwawym trudem, bohaterskim harowaniem do utraty sił. Marzyły im się gospodarstwa nowoczesne, domy przestronne i ładnie umeblowane, komory pełne.

W pierwszych miesiącach po powrocie stawiali piwo i gorzałkę sąsiadom dobrym i kłótnikom. Niechaj znają — kto to przyjechał do wsi! Kupowali dorodne krowy i konie. Budowali domy z rozmachem. Pożyczali szczodrze dolary sąsiedzkiej biedzie. Aż wreszcie z przerażeniem stwierdzali, że ich dorobek był o wiele za słaby, za mizerny, by sprostać osaczającej ich zewsząd nędzy.

— Bieda jest jak rdza — przegryzie najtwardsze żelazo — mówili z rezygnacją i uciekali znowu w świat, lub poddawali niepokorne głowy w jarzmo.

Porzucali nabyty sposób życia w skromnym dostatku. Z zaciśniętymi zębami pracowali na owsianej glebie. Kosztem wielu wyrzeczeń i ofiar utrwalali te ulepszenia gospodarki, jakie w tych warunkach można było w gromadzie zaszczepić.

Jest to wieś małorolnych, średniorolnych i wyrobników. Trzysta dwadzieścia gospodarstw nie było w stanie wyżywić około dwóch tysięcy mieszkańców. To też chłopi zarabiali furmankami (przewóz towarów wozami na trasie Jordanów — Kraków, wyjazdy z kupcami na targi do miasteczek Podhala, zwózka drzewa z pańskich lasów), sezonową pracą przy budowie will w Rabce i Zakopanem, służbą w pensjonatach, wyrobnictwem w miasteczku Jordanów, wyrobem mioteł, chałupniczym przemysłem cegielnianym. Dużą pomoc materialną stanowiła dla ludności południowa część wsi (zabudowania Naprawy rozciągają się wzdłuż drogi skawiańsko - łętowskiej na przestrzeni 5 km), gdzie było prymitywne letnisko. Przyjeżdżali tu drobni kupcy z Krakowa, którzy płacili chłopom za mieszkania, mleko, ziemniaki i furmanki. Zarobki były małe, ale stanowiły poważna sumę w budżecie drobnych gospodarzy.

Okres letni — okres malin, jagód i grzybów — dawał zajęcie setkom rąk małorolnych i bezrolnych: zbierano to, co okoliczny las urodził. Nie było to takie proste, gdyż marne chłopskie laski, trzebione nielitościwie zimą i na przednówkach, gdy głód zaglądał w oczy, nie mogły być terenem godnym zachodu. Możliwości zarobkowe nastręczały jedynie wyręby i lasy obszarnicze na Wysokiej, na Luboniu i na łętowskich górach. A tam czuwali gajowi, broniący gołocie dostępu do leśnych skarbów...

Kilkumorgowe gospodarstwa nie dawały takiego dochodu, żeby można było nawet skromnie wyżywić średnią rodzinę od jesieni do jesieni. Przednówki zaczynały się wcześnie. Dla wielu już w lutym, lub marcu.

W krótkim okresie lepszej ogólnej koniunktury gospodarczej, poprzedzającym wybuch ostrego kryzysu, łatwiej było uciułać latem kilkaset złotych na czarne miesiące zimowe.

Nagle to się wszystko urwało. W latach 1930 do 1939 skurczyły się dochody, większość możliwości zarobkowych zniknęła bezpowrotnie. Letnicy przyjeżdżali jeszcze do wsi, ale płacili kilkakrotnie niższe ceny za wynajem mieszkań, żyli oszczędnie, nieraz wprost biednie. Byli to przecież ludzie, których też kryzys uderzył. Wielu „starych letników" zbankrutowało i przestało odpoczywać w Naprawie. Chłopi jęli narzekać, że coraz to mniej tych „lepszych gości" odwiedza wieś, zamiast nich, ciśnie się tutaj obca bieda, przywożąca ze sobą gruźlicę, choroby weneryczne i beznadzieję.

Naprawa, oddalona jest od lini kolejowej Kraków — Zakopane tylko o dwa kilometry**). Dzięki temu możliwości zarobkowe były tu zawsze nieco większe od możliwości innych gromad gminy zbiorowej Łętowni, takich jak Tokarnia, Skomielna Czarna, Bogdanówka, Więcierża. Wioski te, położone w bardziej oddalonych górskich zakątkach, utrzymywały się ze sprzedaży leśnych owoców i handlu drzewem z oddalonym o 60 km Krakowem. Ogromna liczba rodzin chłopskich oddawała zimą swoje córki na służbę do miast i małych miasteczek.

Nędzarskie przysiółki i wsie były widownią swego rodzaju handlu dziewczętami. W okresach zimowych przyjeżdżali tam ludzie, których głównym źródłem utrzymania była zapłata za dostarczenie określonej liczby chłopskich córek do służby w miastach. Przedsiębiorca taki zbierał jesienią zamówienia od swoich klientów w Rabce, Zakopanem, Jordanowie i Krakowie.

„Werbunek" odbywał się przy wódce. Rodzice dziewcząt otrzymywali zwykle pewną kwotę pieniężną za „zgodzenie córki na służbę". Była to t.zw. „kolenda": przeważnie od 10 do 20 zł dla rodziców i barwna chusteczka, lub kilka złotych na jej zakup dla samej dziewczyny. „Kolenda" stanowiła walną pomoc w przetrzymaniu ciężkiej zimy dla biednych chłopskich rodzin. Im dana rodzina była ekonomicznie silniejsza — tym dłużej zwlekała z „godzeniem" dziewcząt w służbę. Pod wiosnę można było osiągnąć znacznie wyższą zapłatę za służbę, niż na początku zimy. Wówczas przecież klienci potrzebowali gwałtownie rąk roboczych i pośrednicy bywali mniej twardzi, nie targowali się tak bardzo. Częstokroć wioszczyny ogarniał jakiś cichy bunt przeciwko oddawaniu dziewcząt na poniewierkę.

— Nie mam dziewki do służby — mówili chłopi z zaciętością.

— Co wy godocie, ojciec, — odpowiadali wymowni naganiacze, starając się dobierać „chłopskich" wyrażeń. — Zdychać będziecie na przednówku?

W czasie okupacji Naprawa, podobnie jak inne wioski — nie poddawała głowy w jarzmo. Napozór, dla niepoznaki, chłopi uśmiechali się i udawali spokojnych. W rzeczywistości prowadzili walkę z wrogiem na wszystkich polach.

Dziwne rzeczy działy się przede wszystkim z gruntem. Kiedy szło o wyjazd na roboty do Rzeszy okazywało się, że we wsi nie ma prawie wcale bezrolnych, a wczorajsi małorolni to po prostu zamożni, pełnorolni gospodarze. Do roku 1943 gromada potrafiła zataić przed okupantem 200 ha ziemi ornej. Po wzmożeniu terroru i specjalnych badaniach, wynikłych naskutek zorientowania się Niemców w tego rodzaju podstępach, urząd gromadzki „odnalazł" 50 ha, ukrywając pozostałe 150 ha do końca okupacji.

— Ile macie gruntu? — zapytywał urzędnik.

— Jo?

— A dyć wy.

— Jo mom pietnaście morgów.

— Z lasem, czy ornego?

— Piście ornego.

Bojaźliwsi i ostrożniejsi podawali cyfry zbliżone do prawdy, ale za tych cyganili wroga urzędnicy gminy, synowie chłopscy, sabotujący zarządzenia władz okupacyjnych. Chodziło o to, że chciano powywozić najbiedniejszych, jako element zbędny i obciążający niepotrzebnie gospodarkę ogólną. Ale kiedy łapanki nieco ustały, a pojawiły się nakazy kontyngentowe, wtedy znowu „wielkie" gospodarstwa gwałtownie malały.

— Jo przecie godoł, że mom piętnaście morgów, ale w tych piętnastu jest ino trzy ornego, a reśtom to las, doliny i mocarze. Z cego tu kontyngent dać?

Urzędnicy gminni pisali znowu, spisywali, poprawiali, uzupełniali, słali pisma „wyjaśniające", które niczego nie wyjaśniały. Pocichu zaś robiono składki na łapówki dla przekupnych „leiterów". Konieczność obrony przy pomocy łapownictwa sprzyjała rozszerzeniu się potajemnego gorzelnictwa. Wódka najłatwiej otwierała wszelkie możliwości bodaj częściowego wykupienia się od przeróżnych ciężarów, nakładanych przez okupanta. Wódka też przynosiła ucieczkę w zapomnieniu po szczególnie ciężkich przejściach.

Jedną z szeroko stosowanych form walki z okupantem stanowiły zastępcze wyjazdy na roboty. Niemcom szło koniec końców o liczbę wyjeżdżających. Chłopi zorientowali się w tym bardzo szybko, to też zaczęli podstawiać „Arbeitsamtom" ludzi, którzy już mieli wprawę w „wyjeżdżaniu na roboty". Byli to „ochotnicy", którzy za kilka tysięcy złotych podejmowali się „zastąpić" pozwanego do wyjazdu. Stawiali się do transportu. Wyjeżdżali. Miejscowy „leiter" „Arbeitsamtu" cieszył się, że odesłał przeznaczony kontyngent ludzi. Tymczasem wszyscy „zastępcy", a przy tym wielu „pierwszaków", „urywali się" z pociągu już gdzieś za Krakowem, lub nawet na terytorium Rzeszy i wracali do wsi. Przy następnej akcji wyjazdowej stawali znowu na wezwanie, wyjeżdżali i znów wracali. Trwało to tak długo, dopóki się Niemcy nie zorientowali, że taki to a taki wciąż ucieka i nie zaczęli go prześladować. Wówczas zawodowy „zastępca", który częstokroć uratował od robót kilkanaście osób, uciekał w las. Ten rodzaj walki z okupantem znany był i stosowany we wsiach i miastach. W miastach, zwłaszcza w Krakowie i Warszawie, byli, jak wiadomo, w tej dziedzinie specjaliści o niedoścignionej zręczności.

Sabotaż gospodarczy, przejawiający się w najróżniejszych formach — był jednym z najbardziej typowych zjawisk. W parze z tym szła wciąż rosnąca aktywność polityczna, kulturalna i partyzancka.

Straty, poniesione przez wieś były jednakże bardzo znaczne. W tym straty gospodarcze jedynie w inwentarzu żywym oblicza się na przeszło 100 tysięcy złotych przedwojennych.

— — — — — — — —

W procesie kształtowania się gromadzkiej psychiki wojna odegrała rolę bardzo poważną. Zmusiła ona każdego mieszkańca wsi do aktywności. Ciągła niepewność posiadania gospodarstwa, które mogło być w każdej chwili zabrane lub puszczone z dymem, ustawiczna groźba niemieckiego rabunku i śmierci, to wszystko wytwarzało stan trwałego pogotowia, nieustannej czujności. Chcąc żyć i przeżyć, trzeba było codziennie zapobiegać różnym niebezpieczeństwom. Trzeba było także współdziałać z sąsiadami.

Naprawa, jak każda polska wieś w tym czasie, miała swoje tajemnice, które znały nawet dzieci, ale tajemnice te nie wychodziły poza obręb gromady, były pilnie strzeżone nie tylko przed obcymi, ale i przed tymi spośród swoich, których uważano za niepewnych. W [illegible]n sposób wykształcało się poczucie rodzaju zbiorowej dyscypliny i odpowiedzialności. Ze wzglę-

*) Fragmenty z książki pt. „Nowa Naprawa", która ukaże się wkrótce nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik".

**) W czasie wojny wybudowano przystanek we wsi Skawa, pomiędzy Jordanowem a Chabówką. Do stacji Jordanów odległość wynosi 4 km, do stacji Chabówka 8 km, do st. Rabka - Zdrój 8 km.

ROMAN BRATNY

Światu i nikomu

I gwiazdy ma upełnorolnić
Organizacja Narodów Zjednoczonych.
Nad głową ludzi świecić będą wolne,
nad ziemią z granic wywłaszczoną.

Nad bezgraniczną!
Będą gospodarzyć nad ziemią jedną — nie jednaką,
wtedy gdy wszystkie Zjednoczone działobitnie
rozniesie rozhukany atom.

Wszystkie majątki ziemskie trzeba podzielić,
to chleb będzie żyzny
— wtedy niby traktorem kapliczką po polach przejedzie
przydrożny dotąd Chrystus:

Tak, bo zmiany, bo teraz i poezja jest inna:
drzewa w niej nie szumią: rosną.
I inny musi być człowiek ozimy,
który po mrozach wojny patrzeć ma na wiosnę.

I świat ma być inny: jeden.
I nasza wola inna: jedna.
Dać mamy światu zjednoczonemu siebie,
ale ziem zachodnich nikomu nie dać!

du na możliwe masowe wysiedlanie, każdy chłop interesował się żywo przebiegiem wojennych wydarzeń, Rozpowszechniło się masowe czytanie gazet i książek. Przy tym jednakże potrzebny był krytyczny stosunek do tego, co się czytało.

Tak potęgowała się samodzielność myślenia.

Dla dokładnego zrozumienia dziejących się spraw, należało się zapoznać nie tylko z geograficznym położeniem danych krajów, ale również zainteresować się bliżej życiem poszczególnych narodów, ich dążeniami. To rozszerzało widnokręgi pojęciowe o świecie. Brak towarów przemysłowych zmuszał do wytwarzania ich we własnym zakresie. Rozrastał się nielegalny chłopski przemysł chałupniczy. Twarde warunki życia zmuszały do zaradności. Młodzież wiejska, wyłapywana masowo do robót w Niemczech, zmuszana następnie do ciężkiego wysiłku w najgorszych warunkach, uczyła się nienawiści do faszyzmu.

Dzisiaj młodzi robotnicy rolni i robotnice rolne, powracający z Niemiec, zajmują gospodarstwa na wyzwolonych ziemiach zachodnich. Cechuje ich ostra czujność wobec hitleryzmu, wobec grabieżczej niemczyzny. Ciężko zdobyte doświadczenia zużytkują teraz dla dobra ogólnego. Jest to wartościowy element chłopski, zahartowany w walce, przygotowany przez życie do pokonywania wszelkich trudności. Młodzież ta stanowi pionierski element pozbawiony sentymentalnej miękkości i chwiejności, a przyzwyczajony do rzeczowego i zdecydowanego załatwiania wszelkich spraw. Wpływ jej jest znaczny i widoczny ze względu na wielką liczbę młodych chłopców, którzy w czasie wojny odbyli przymusowe wędrówki po obcych krajach.

Osobno należy podkreślić ten fakt, że wojna wyostrzyła chłopskie zrozumienie spraw kulturalnych. Niszczenie przez hitlerowców książek szkolnych i bibliotek, systematyczne unicestwianie szkolnictwa polskiego, tępienie wszystkiego co polskie — rozpłomieniło w duszach chłopskich narodowy instynkt samozachowawczy. Chłop podjął walkę o kulturę. Gdzie mógł — ratował książki przed zniszczeniem. Naprawa i okoliczne wsie stały się ośrodkiem tajnego nauczania. W Naprawie brały udział w tej pracy miejscowe nauczycielki: Dańkowska-Wałasowa, Kulkowa, Łazarska.

Gromady zbliżyły się do nauczycielstwa szkół powszechnych, średnich, a także wyższych. Nastąpiło zżycie się i silniejsze zrozumienie wzajemne. Chłop poczuł się realną siłą kulturotwórczą a zarazem i obrońcą polskich dóbr kulturalnych, bojownikiem o przyszłość postępu. Tego poczucia nikt mu już nie odbierze. To, co w tej dziedzinie kiełkowało dopiero w okresie przedwrześniowym, rozrosło się w latach okupacji w ukryciu, w zacieniu słomianych strzech, a teraz rozwija się coraz bujniej, coraz potężniej. W okresie wojny utwierdziło się w chłopie polskim poczucie głębokiej odpowiedzialności za państwo, za naród. Broniąc zaciekle swojego stanu posiadania, chłop nasz wiedział dobrze, iż broni tu żywej części Polski. Ciężkie doświadczenia nauczyły go, że niczym jest jego osobiste dobro, gdy jego kraj i jego społeczeństwo ugina się pod nawałem klęsk. Żadna z wojen nie wykazała chyba tak dobitnie jak właśnie ta — jaką olbrzymią wartość przedstawia dla człowieka życie w swoim społeczeństwie, w swojej ojczyźnie, w swoim wolnym i niepodległym państwie. To też masy chłopskie nie żałowały krwi dla Polski. Szafowały nią hojnie w partyzantce i później w szeregach Wojska Polskiego.

Zacięta, wieloletnia zbrojna walka z wrogiem stanowi osobny, bogaty rozdział w życiu Naprawy i okolicy. Bohaterstwo i zręczność tutejszej młodzieży, skupionej w patriotycznych organizacjach bojowych, zasługuje na osobne omówienie. Dla podkreślenia tego jeszcze jednego charakterystycznego rysu, należy tu powiedzieć, że na kilka miesięcy przed styczniową ofensywą Armii Czerwonej, niemal każdy chłop brał udział w walce. Z nadejściem wieczoru Naprawa stawała się wolną republiką, w której rozbrzmiewał polski śpiew, dudniły miarowe kroki partyzanckich oddziałów. Zwykle nad ranem w pobliskiej dolinie Skawy wylatywał w powietrze most, lub pociąg z niemieckim materiałem zaopatrzeniowym dla frontu.

Antoni Olcha

STANISŁAW PIĘTAK

Nowe wiersze



Podczas pogromu

O, domie, domie splądrowany!
Mej matki siwy włos skalany
ostatnim mirtem w oknie płacze.
Jaskółki mrą od kul siepaczy.

Wśród skrętów ognia puchną orgie.
Gdzież tu lęk ukryć matki drogiej.
Rannego kotka zmierzch już grzebie,
lecz nie nam łzą dziś błądzić w niebie.

O, domie, domie splądrowany,
twarz tulę do twej białej ściany.
Łuna, jak potwór, pełznie ścierniem.
Noc, noc, wołanie. Świerszczy ciernie...

1943

Na Wigilię 1945 roku

Wejść lekkim jak szept promienia krokiem
Zdziwić, ach, ojców oczy spłakane.
Czas zagląda do szyb srebrnym mrokiem...
O, matko, niech dotknę twojej rany!...

– Zdrowy jesteś? Jak w Łodzi? – będziecie
pytać, a ja z wzrokiem w blask otwartym
iść będę i na cieniów zakręcie
łzę, gwiazdę złożę na polu martwym...

Wygnali mnie z domu źli ludzie,
dlatego w jęku nocą się budzę.

Przechadzka z ukochaną

Powiedziałbym ci, że jestem zakochany,
ale śmieją się z tego lip wonne ściany.
„Jakże to, on przecież klęczy co wieczora
i gwiazd wyglądać idzie do jeziora.
Ech, lepiej z księżycem pogaworz na snopie,
niż marzyć miałabyś smutnie o tym chłopie...
On ci jak gołąb wyleci z pośród dłoni.
I od rozpaczy serca nic nie obroni"...

To wszystko prawda, co mówią o mnie
ludzie, moja droga,
lecz stanij. Ucałuję twój cień w zbożu,
zblednie ma trwoga.

W dzienniku

Zatruły serce mi marzenia.
Niebem wirujący kwiatu pył
niósł oczy dziewcząt, ich nucenia.
Wierzby klęczały w blasku, co śnił.
W rzece czarnej kryły się ptaki,
w śpiew chyląc cichy srebrne krzaki.

Żyć nie umiałem bez chwil czaru.
Promieniem zaświecałem kłosy
żyta i z gwiazd różowych paru
szum słałem mojej Miłej w włosy.
Myśl moja rosła w chłodnym pięknie,
w przyszłość szła coraz nieulęklej...

Tak było, a dziś schylony
ze skrzepem zwątpień w mózgu, niemal
z grozą, nie czekam już stęskniony
na rzeczy, na zjawiska. Nie ma
młodości mojej, dni marzenia.
Są echa, zmięte od cierpienia.

Opowieść

To był dla mnie czas trudny, z okrucieństwa piętnem.
Front znowu stanął. Widziałem nienawiść, zbrodnię
wśród ludzi bliskich. Aby nie zginąć, udawałem śmiech
grałem głupca, czoło chroniłem o przygodną
twarz, która cieniem krzyczała potem, gdym śnił.

Rozpacz... O, dni rozpaczy! Szedłem na brzeg Wisły
i wodzie, zziębłym ptakom spowiadałem swój żar.
– Nie możliwe, by mord był tym czynem, co zbawia –
mówiłem i ze słów tworzyłem, ratując siebie,
krajobrazy spokojne, zdarzenia łaskawsze.

Może i zasłynie ten naiwny, polny świat.
Wiersze świecą dziś westchnieniem pszczół, pyłem, gwiazd łzą...

Po drodze do domu

I

Znów stanąłem w uliczce smukłej, patrzę w cienie.
Tu dąb o rosę prosi gwiazdę, rośnie w noc
cichą. Nasz dom unosi blask, szum i milczenie.
Usycha złoty księżyc tam, gdzie chwieje się kłos
w dali tak czystej, że usłyszeć można westchnieni
muszki śpiącej, ruszony powietrzem wierzby włos.
Na łące odbiło niebo czajki lot, nutę.
Poszedłem w blask, szkoda, że nogi mam obute.

II

Brzóz żaglem na tratwie wieś płynęła w siny mrok.
To tylko was w domu nie cieszyły te cisze.
W okno wybiegał ojca i matki czujny wzrok.
Komuś się śniło już, że w drzwiach u belki wiszę –
i wszyscy czuli u szyb tętniący Niemców krok...

O, ojcze, matko, darujcie mi – ledwie piszę,
wspominając ten czas. Tak, byłem zakochany,
oczko bratka całowałem u cieniów bramy.

Postój w nieznanej wiosce

Możem chciał to kiedyś opisać, może byłem
w tych krajach w dzieciństwie. O, jak dziwią te noce –
jadę końmi siwymi i u wierzb w tak miłym
powietrzu staję. Pola kulą się w pomroce
błękitnej. Od kapliczki wieją rzewne śpiewy
i zaraz domy schodzą w jasną, złotą wodę,
a kwiaty drgają i ku niebu ronią mewy.

Myślę, patrząc w kłosy zmienione, że za brodem
znajdę szczęście, trzeba tylko, zatrzymać konie,
pożyć z ludźmi w tej wsi, poznać ich ciche dzieje...
Z dziewczyną, która wyniesie chleb, pójść na błonie.
Ptak sfrunie jej na ramię, ona się zaśmieje...

Rozweselę oczy starców gawędą jeszcze,
z dziećmi nazywać będę kwiaty, które giną.
Sobie samemu nocą poezję obwieszczę –
i tak dni pod błękitem ciemnym moje miną...

Ogród

I

Kiedy tak śpię w cieniu błękitnym słonecznika,
czuję, żem jest szczęśliwy i blask mnie przenika
śpiewu od pól. – Tam kobiety u żyta gwarzą.
Podałbym bożą krówkę złotej wyczce twarzą,
ale naraz, wysoki dąb posrebrzon kurzem
schylił się i mówi: – Był spisek, zgasną róże...

II

Nad każdym kwiatkiem ziemniaczanym błysła pszczoła
i ja w tej chwili myśli przepomniałem zgoła.
Moja siostrzenica z floksów, bratków i pali
stawia dom z przyjaciółmi oto. Ach, płakali
ojce mrówek tam przy rozbitym okopisku,
bo lęk poruszył lilie w skrach schylone nisko.

III

– Dramat się dziać zaczyna – szepcę – i uciekłem.
Teraz jednak nagle chłopca z wejrzeniem spiekłym
ujrzałem. Modląc się, klękał on u promieni
i wodę z rzeki dla roślin swych nosił dłońmi.
Ten widok smutny przejął mnie znienacka bólem.
Zbudziłem się, jakbym dostał śmiertelną kulę.

IV

– Nie różnię się od dzieci – mówiłem zgnębiony.
W czerwcową noc po fali iść w podgwiezdne strc
usiłowałem. Ach, lub doświadczając marzenia,
odłączyć się w blasku chciałem od swego cienia.
Na młyn się piąłem, by dojrzeć, czy za wzgórzami
dzień nie nawiedza świata złotymi burzami?

V

– Czy nie dzięki tamtym dniom śmierci się dziś boję? –
pomyślałem wolno. Drżały w skrach ręce moje.

CZESŁAW JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

Śpiewna dusza ludu

— część pierwsza —

W programie jugosłowiańskich szkół powszechnych i średnich — powiada prof. Gesemann — pieśń ludowa, zwłaszcza epiczna, odgrywa o wiele większą rolę formalną i etyczno-pedagogiczną, aniżeli w szkołach innych krajów. Wiąże się to z tym, że cała ludność jugosłowiańska, zarówno sfery wykształcone jak i niewykształcone, utrzymuje z pieśnią ludową stosunki bliższe niż którykolwiek naród Europy. Dzieje się to dlatego, że Jugosłowianie wciąż jeszcze trwają w ścisłym kontakcie z duchem wspólnoty. W odróżnieniu od większości narodów europejskich Serbowie i Chorwaci są bardziej świadomi swych etnicznych i rasowych odrębności, które ich dzielą od innych, nawet pokrewnych, narodów słowiańskich. Świadomość rasowa i całkiem zrozumiała duma z antropologicznych i charakterologicznych zalet swego narodu — należą do cech narodowych u Serbów i Chorwatów. Cechy te stanowią dziedzictwo patriarchalnego, rodowego, chełpiącego się swą krwią wspólnoty, ustroju społecznego. Właśnie pieśń ludowa sprawiła, że Jugosłowianie, po czterech wiekach panowania tureckiego i izolacji od Europy, z powrotem weszli do europejskiej wspólnoty kulturalnej, zostali przyjęci do literatury światowej, i przez to zrehabilitowali się kulturalnie.

Jednocześnie z powtórnym odkryciem Homera i Nibelungów, stały się i serbo-chorwackie pieśni ludowe przedmiotem niemniejszego zainteresowania naukowego i artystycznego. Słońce Homera przyświecało również i tym pieśniom; i wielu ludzi odczuwających ich czar, porównywało je z poezją homerycką. Może się to wydać przesadą, lecz upieram się przy tym, że mógłbym z serbsko-chorwackiej liryki i epiki ludowej wypisać kilkaset miejsc, należących do najpiękniejszych kart, jakimi literatura światowa może się poszczycić. Toteż taka poezja ludowa, która do swych czytelników, wielbicieli i tłumaczów zalicza tej miary nazwiska jak Herder, Goethe, Jakub Grimm, Ranke, Mérimés, Mickiewicz, Puszkin . . ., musi i w życiu duchowym danego narodu grać o wiele większą rolę, niż poezja ludowa innych narodów, która nie zdołała zainteresować największych duchów Europy. Poznając serbsko-chorwacką poezję ludową, poznajemy nie tylko duszę wysoce interesującego, oryginalnego i ważnego pod względem politycznym narodu, nie tylko wnikamy w duszę przebogatego w piękno natury terenu turystycznego, lecz poznajemy również doniosły rozdział z literatury światowej.

I.

Jednym z najważniejszych wątków jugosłowiańskiej epiki ludowej jest klęska na Kosowym Polu w roku 1389 — klęska, która na długie wieki położyła kres samodzielnemu państwowemu bytowi naszych pobratymców. Jest to dramat (że znów zacytujemy Gesemanna) jedyny w swoim rodzaju w dziejach świata i w literaturze światowej, godny, jak żaden inny, Homera i Szekspira, tak pełen tragicznych następstw, że różni pisarze próbowali, z mniejszą lub większą zręcznością artystyczną, stworzyć z tych cegiełek ludowych wielki, zbiorowy epos książkowy. Żelaznym krokiem maszerują wyroki dziejowe przez tę wstrząsającą poezję, ale to, co w niej jest najbardziej wzruszające, najdelikatniejsze, najbardziej uduchowione — to wynaleźli sami śpiewacy i poeci epiczni z ludu. Oni, to każą ostatnim dalekim echom zgiełku bitewnego odezwać się w duszy wdów i sierot. Czynią tak, jak czyni tylko wielki twórca powieści historycznych, który przedstawia wielkie wydarzenia polityczne i dziejowe nie bezpośrednio, lecz śledzi wzrokiem jedynie chmurny cień, jakie te wydarzenia rzucają na ziemię i na ludzi. Pokazuje nam, jak serca tych, którzy pozostali w domu, przeżywają bitwę i klęskę. A zatem przedstawiają wydarzenia pośrednio i dzięki temu w przejrzystym uduchowieniu. Pieśni epickie tego cyklu opowiadają o tym, jak pewien pastuszek znalazł uciętą głowę księcia Łazarza, podniesionego do godności męczennika za naród i wiarę, i jak tę głowę potem pochowano. Opowiadają o prawzorze serbskich pielęgniarek: o narzeczonej z Kosowa, która z posiłkiem śpieszy na pole bitwy, aby odszukać narzeczonego. Autor jednej z tych pieśni posyła matkę dziewięciu Jugowiciów na pobojowisko, gdzie odnajduje poległych synów i męża, wraca do dziewięciu wdów i sierot, aż wreszcie to twarde serce matki bohaterów pęka:

ŚMIERĆ MATKI JUGOWICIÓW

Miły Boże, co za wielkie dziwy!
Na Kosowie wojsko się gromadzi:
Jugowiciów w wojsku tym — dziewięciu,
a sam stary Bogdan Jug — dziesiąty.
Boga prosi matka Jugowiciów:
„Daj mi, Boże, wzrok sokoła ostry
i łabędzia daj mi białe skrzydła,
bym, nad równe wzbiwszy się Kosowo,
Jugowiciów widziała dziewięciu
i Bogdana Juga — dziesiątego".
Tak błagała, tak też ubłagała:
dał jej Pan Bóg wzrok sokoła ostry
i łabędzia dał jej białe skrzydła.
Poleciała nad Kosowo równe;
Jugowiciów widzi dziewięć trupów
i dziesiąty — starego Bogdana,
a nad nimi — dziewięć spis bojowych,
a na spisach tych — sokołów dziewięć,
dziewięć rączych koni przy sokołach,
zasię dziewięć srogich lwów przy koniach.
Hej, zarżało dziewięć koni rączych,
zaszczekało dziewięć lwów tych srogich
i sokołów dziewięć zakwiliło.
I stwardniało wtedy serce matki:
łzom ze serca płynąć nie dopuszcza,
jeno zdziera dziewięć koni rączych,
dziewięć srogich lwów na smyczy wiedzie,
zdjęła dziewięć z owych spis sokołów
i do zamku wraca się białego.
Zobaczyły ją synowie zdala
i wychodzą panią świekrę witać.
Jęło dziewięć młodych wdów zawodzić,
zapłakało dziatek dziewięcioro
i zarżało dziewięć koni rączych,
zaszczekało dziewięć lwów tych srogich
i sokołów dziewięć zakwiliło.
Lecz znów twarde było serce matki:
łzom ze serca płynąć nie dopuszcza.
A tu nagle w nocy, o północy,
zarży w stajni siwy koń Damiana.
Pyta matka żonkę Damianową:
„Damianowo, miła ma synowo!
Czemu siwek zarżał nam Damiana?
Zali białej on pszenicy głodny,
czy spragniony wody ze Zweczana?"
Damianowa rzecze na to żonka:
„Oj, świekruniu, matulu Damiana!
Ani białej on pszenicy głodny,
ani pragnie wody ze Zweczana,
jeno Damian zdawna go zaprawił
do północy chrupać chrupki owies,
od północy zaś przebiegać drogi —
więc za panem trapi go tęsknota,
który z pola do dom z nim nie wrócił".
Lecz znów twarde było serce matki:
łzom ze serca płynąć nie dopuszcza.
A nazajutrz, kiedy dzień zaświtał,
lecą czarne kruki dwa smętarne;
aż do barków mają skrzydła we krwi,
dzioby śnieżna piana im pokrywa.
Niosą w dziobach dłoń witezia białą;
lśni na palcu pierścień pozłacany.
Dłoń rzucają matce na podołek;
wzięła rękę matka Jugowiciów,
obracała, pilnie oglądała,
wreszcie żonę wzywa Damianową:
„Damianowo, miła ma synowo!
może poznasz, czyja to jest ręka?"
Damianowa rzecze na to żonka:
„Oj, świekruniu, matulu Damiana!
to Damiana naszego jest ręka,
bo poznaję, matko, tę obrączkę,
com przy ślubie miała ją na palcu".
Znowu wzięła matka rękę syna,
obracała, pilnie oglądała,
wkońcu mówi tak do ręki cicho:
„Moja dłoni, jabłko mej jabłoni!
gdzieś ty rosło, gdzie cię zaś zerwano?
Rosłoś, jabłko, w smutnym łonie moim,
a zerwano-ć na Kosowie równym".
A to rzekłszy, tak się zasmuciła,
że jej żywe serce pękło z żalu
za dziewięciu, za Jugowiciami,
i dziesiątym starym Jug-Bogdanem.

II.

Serbsko-chorwackie eposy ludowe dzielą się podług bohaterów i podług wydarzeń historycznych — lub pseudohistorycznych — które stanowią ich osnowę, na pewne określone kręgi epickie czyli tak zwane cykle. — Pierwszy tradycyjny cykl, cykl pieśni niehistorycznych, zawiera opowieści najrozmaitszego gatunku: częściowo wierszowane baśnie i podania. Wiele z tych pieśni gęślarze istotnie *śpiewali*, przygrywając sobie na gęśli, podczas uroczystości cerkiewnych albo podczas tak zwanej „slavy" — święta patrona domowego. Do tej grupy należą wzruszające legendy o diakonie Stevanie i o świętym Mikołaju. Poza tym cykl ten zawiera opowiadania o podziale mocy niebieskich i ziemskich wśród poszczególnych świętych, o katastrofach żywiołowych, jakie ci władcy niebios zsyłają na grzeszącą ludność, o karach jakie cierpią grzesznicy w ogniu piekielnym, o tym jak ludzie obrażają świętych patronów i jak za to pokutują, o niegodnym zachowaniu się na świecie „slavy", o znajdzie Simeonie, o walce świętego Jana z *carem* ciemności, który występuje tu w podaniowej postaci cesarza rzymskiego Dioklecjana itp. Opowiadają dalej o walkach z olbrzymami i ze smokiem ognistym, o narzeczonym-wężu, o strzygach-sobowtórach. Inne z tych pieśni zbliżaj się już do rodzaju bohaterskiego: poruszają prastary indoeuropejski motyw pojedynków pomiędzy krewnymi, którzy się wzajemnie nie poznali. Taka jest między innymi piękna pieśń

O PREDRAGU I NENADZIE

Żywi matka dwu synów maleńkich
w czasie lutym, w srogich latach głodu,
nic nie mając, prócz rąk i przęślicy.
Piękne obu nadała imiona:
jeden Predrag, drugi zwie się Nenad.
Predrag podrósł, że mógł dosiąść konia,
dosiąść konia i dzidę uchwycić;
za czym umknął matce swojej starej,
do zbójników przystał w ciemnym lesie.
Matka sama została z Nenadem,
Nenad brata swego ani poznał.
Podrósł matce, że mógł dosiąść konia,
dosiąść konia i dzidę uchwycić,
za czym umknął matce swojej starej;
w las przybiega pomiędzy zbójników,
był zbójnikiem i sam przez trzy lata.
Jest junakiem mądrym i roztropnym,
w pojedynku zawsze mu się szczęści,
więc go hersztem robią towarzysze;
i hersztował im Nenad trzy lata.
Lecz, młodziutki, zatęsknił do matki
i przemawia tak do towarzyszy:
„Oj — powiada — mili bracia moi!
zatęskniłem ja do starej matki.
Nuże, bracia, rozdzielmy swe łupy
i wracajmy każdy do swej matki".
Towarzysze chętnie usłuchali.
Gdy wysypie który skarby swoje,
uroczyście przysięga na brata,
że nie ukrył nic — lub na siostrzycę.
Lecz gdy przyszła kolej na Nenada,
tak przemawia do swych towarzyszy:
„Oj — powiada — mili bracia moi!
brata nie mam ani też siostrzycy,
lecz na Boga w niebie wam przysięgam:
niech mi ostra zardzewieje szabla!
niech koniowi grzywa wylenieje!
niech mi ręka uschnie, jeśli kłamię,
że zdobyczy żadnej nie mam więcej".
Skoro wszystkie rozdzielono skarby,
Nenad skoczył na dobrego konia
i do starej swojej ruszył matki.
Stara matka pięknie go przyjęła,
uraczyła słodkim poczęstunkiem.
Gdy zasiedli razem do wieczerzy,
Nenad cicho przemówił do matki:
„Oj, staruszko, matko moja droga!
gdybym oto ludzi się nie wstydził,
ani gniewu Bożego obawiał,
tobym matką swoją cię nie uznał:
czemuś brata mi nie urodziła,
ani brata, ani miłej siostry?
Kiedym dzielił łup z towarzyszami,
uroczyście każdy mi przysięgał:
ten na brata, tamten znów na siostrę,
Ja zaś matko — na siebie i oręż
i na konia dobrego pod sobą".
Stara mu się uśmiechnęła matka:
„Dajże pokój, młodziutki Nenadzie!
urodziłam ci, owszem, bracjszka,
rodzonego braciszka, Predraga,
i już miałam wczoraj wieści o nim,
że zbójnikiem jest i że przebywa
hen w zielonym lesie Garewicy
i na czele hufca stoi junak".
Wiec młodziutki mówi do niej Nenad:
„Oj, staruszko, matko moja droga!
skrój mi, matko, całkiem nowy ubiór,
z zielonego sukna strój zielony,
ale kusy i lasowej barwy,
żebym poszedł odszukać braciszka,
żeby żrąca minęła tęsknota".
A poczciwa stara mówi matka:
„Dajże pokój, młodziutki Nenado,
bo naprożno byś postradał życie".
Ale matki Nenad nie usłuchał
i po własnej tylko czynił myśli:
sam wykroił sobie nowy ubiór,
z zielonego sukna strój zielony,
całkiem kusy i lasowej barwy;
potem skoczył na dobrego konia
i wyruszył, żeby szukać brata,
żeby żrąca minęła tęsknota.
Ani razu nie wydobył głosu,
ani splunął, ni na konia krzyknął;
a przybywszy pod las Garewicy,
krzyknął Nenad jako sokół siwy:
„Garewico, zielony ty lesie!

WITOLD ZALEWSKI

Marcin Kempka

Profile cienia

Chodziło o przekazanie ich niedomówionych zdań, niedokończonych gestów, a przede wszystkim o to, żeby choć na moment przedłużyć ich zerwane na zawsze kontakty z żywymi. Dlatego zespół czasopisma konspiracyjnego „Dźwigary" wprowadził, jako stałą kolumnę, wspomnienia o poległych.

Nazwano ten cykl: „PROFILE CIENIA". Trudności techniczne, a wiemy wszyscy, jakie to one były w 43 i 44 roku, nie pozwalały na regularne wydawanie miesięcznika. Między innymi rękopisami, w skrytce redakcyjnej, czekały na druk również „Profile Cienia". W tym czasie mnożyły się one okrutnie prędko. Często dzisiejszy autor, jutro sam stawał się tematem dla wspomnienia. Było to w trakcie szczególnie długiej, a jak się potem okazało, ostatniej już przerwy, pomiędzy ukazaniem się pisma. Redaktor dysponował większą niż zwykle ilością wspomnień.

Dziennikarz i zecer polegli w obronie drukarni, człowiek obdarzony przez Niemców „kartą lojalności" (t. zw. błękitny ausweis), który był w rzeczywistości szefem polskiego kontrwywiadu, młody intelektualista, zabity w czasie akcji na jakiegoś hitlerowca „doczekali się" już krótkich jak pożegnanie przyjaciela wspomnień i tylko niewiadomo było, które z nich będzie najpierw drukowane. Wtedy znana była waga posyłanego między ludzi słowa, bo któż mógł wiedzieć, czy pozwolą nam powiedzieć następne.

O śmierci Marcina Kempki dowiedziałem się z listu od jednego z moich wiejskich przyjaciół. Przekraczała ona miarę dotychczasowego doświadczenia i wiedzy polskiego inteligenta o polskim chłopie. Była bowiem świadoma i dobrowolna. W nim samym zresztą, tak jak w całym chłopskim pokoleniu, do którego należał, dokonały się najdonioślejsze przeobrażenia. Pojęcia związane dotychczas z własną zagrodą, czy dworskim obejściem przekroczyły horyzont i objęły cały kraj, po którym obwozi chłopa pociąg, o którym mówi mu radio, z którym zapoznają go gazeta i książka.

Chłop polski, rozpoczynając swój udział w gospodarowaniu państwem nie stał się dłużnikiem dziejów. Nic nie dostał od nich za darmo. Jego świadomość narodowa i klasowa obudziły się wcześniej, niż reformy dały mu prawo stanowienia o losach narodu. I z tego właśnie faktu, że chłop stał się współtwórcą swoich praw dzięki swej pracy i poświęceniu, a nie przez wyzysk i krzywdę, ani przez ofiarę innych grup społecznych, pochodzić będzie jego siła moralna.

Teraz wiem, że Marcin Kempka (a iluż ich jest między chłopstwem) zasługuje na epos. Wtedy napisałem „Profil Cienia". Jest to tylko wiadomość o istnieniu i o śmierci człowieka. Ale najważniejsze w tym jest, jak on się o to uznanie swego człowieczeństwa cierpliwie z całym światem spierał.

Oddałem wspomnienie o nim „Dźwigarom". Redaktor umieścił je w najbliższym a jak się potem okazało ostatnim numerze pisma, skazując na zapomnienie tamtych pięknych ludzi, z których jeden był Jego przyjacielem. Zrobił to ponieważ „Profile Cienia" nosiły motto:

„Można widzieć sens słowa sztuka w usiłowaniu uświadomienia ludziom ich własnej, nieznanej im wielkości". *Malraux*

MARCIN KEMPKA

Był fornalem. Jednym z tych wypracowanych, ponurych 50-cio letnich mężczyzn do których niedorosły panicz mówi — ty!

Po wojnie 1920 r. powraca do domu, to znaczy do czworaka, w którym każda izba gnieździ kilkanaście dusz. Siedzi w jednej z nich razem z żoną, która wkrótce umiera na suchoty i zastawia mu jednego syna, Janka. Pracuje sumiennie i czeka na poprawę doli, tak jak mu obiecali „przed wojną". Pamięta przecież, że w Warszawie miastowe panie karmiły ich czekoladą, panowie obiecywali po wojnie lepszy byt, a nawet bąkali coś o własnej gospodarce. Więc Kempka czeka. Uważa, że obowiązek swój spełnił i spełnia go wciąż w ciężkiej, twardej, fornalskiej pracy. Teraz niech pokażą ci panowie, co gadali o dobrym bycie, o sprawiedliwości, co wcisnęli karabin do ręki i poszczuli na braci mówiących podobnym językiem. A zapowiadana w Warszawie poprawa bytu nie przychodzi. Jeśli coś się zmienia to tylko na gorsze. Obniżka dniówki i obcięcie ordy-

jugosłowiańskiego

poezja bohaterska

Czy nie żywisz w swym cieniu junaka,
mego brata miłego, Predraga?
Czy nie żywisz w swym cieniu junaka,
co by z moim połączył mię bratem?"
Predrag siedział pod jodłą zieloną,
Predrag siedział, pił rumiane wino;
gdy usłyszał zdala głos Nenada,
tak przemawia do swych towarzyszy:
„Towarzysze, bracia moi mili!
Przy gościńcu przysiądźcie na czaty,
nieznanego wyczekajcie zucha,
ni go bijcie, ni bierzcie okupu,
jeno żywcem do mnie przyprowadźcie:
bo kimkolwiek jest, jest z mego rodu".
Więc pobiegło trzydziestu młodzieńców,
po dziesięciu stanęli w trzech miejscach.
Gdy natrafił na pierwszych dziesięciu,
nikt przed niego wyjść się nie ośmielił,
wyjść przed niego, uzdę konia schwycić
lecz go z łuków jęli ostrzeliwać.
A młodziutki mówi do nich Nenad:
„Nie strzelajcie do mnie, bracia z lasu!
Oby żal was nie trapił za bratem,
tak jak trapi mnie i brata mego
i sprowadza mnie — biednego — tutaj!"
Więc puścili go mimo bez krzywdy. —
Gdy natrafił na drugich dziesięciu,
ci go także jęli ostrzeliwać.
I nanowo mówił do nich Nenad:
„Nie strzelajcie do mnie, bracia z lasu!
Oby żal was nie trapił za bratem,
tak jak trapi mnie i brata mego
i sprowadza mnie — biednego — tutaj!"
Więc go również puścili bez krzywdy. —
Gdy natrafił na trzecich dziesięciu,
ci go także jęli ostrzeliwać.
Tu młodziutki rozgniewał się Nenad,
na trzydziestu uderzył junaków:
szablą pierwszych porąbał dziesięciu,
koniem drugich dziesięciu stratował,
trzeci umknął do lasu dziesiątek —
ci do lasu, ci nad zimną wodę.
Do junaka Predraga wieść bieży:
„Źle, żeś usiadł tu, herszcie Predragu!
W gości przyszedł do cię gość nieznany,
towarzyszy w lesie ci wyrąbał!"
Lekko Predrag porwał się na nogi,
łuki bierze ze sobą i sajdak
i wychodzi na czaty przy drodze
i zasiada pod jodłą zieloną
strzałą z siodła wytrąca Nenada,
w niebezpieczne miejsce go ugodził,
w czułe miejsce: wprost w serce junackie.
Krzyknął Nenad jako sokół siwy,
krzyczy, z bólu wijąc się na koniu:
„Och, junaku z lasu zielonego!
Niech cię, bracie, śmiercią Bóg zabije!
Niech ci, bracie, uschnie prawa ręka,
która we mnie strzałę wymierzyłeś!
Niechaj oko wypłynie, zuchu,
którym oto celowałeś we mnie!
Niech cię trapi tęsknota za bratem,
tak jak trapi mnie i brata mego
i biednego mnie tu sprowadziła
na pohybel głowie mej nieszczęsnej!"
Skoro Predrag usłyszał te słowa,
spoza jodły zielonej tak pyta:
„Coś za jeden i z jakiego rodu?"
Na to ranny odpowie mu Nenad:
„Czemu pytasz mnie o ród, junaku?
Z mej rodziny nie dostaniesz żony.
Junak jestem, młodociany Nenad;
stara matkę mam osamotnioną
i jednego brata rodzonego,
rodzonego braciszka, Predraga,
i ruszyłem, żeby go odszukać,
żeby żrąca minęła tęsknota —
na pohybel głowie mej nieszczęsnej!"
Skoro Predrag zrozumiał te słowa,
w jęku sajdak upuszcza na ziemię,
do rannego przyskoczył junaka,
z konia zdjął go, położył na trawie.
„Tyżeś, tyżeś to, bracie Nenadzie?
Jam jest Predrag, jam twój brat rodzony.
Czy przeboleć możesz rany swoje,
żebym podarł cieniutką koszulę
i opatrzył okładem twe rany?"
Na to ranny odpowiada Nenad:
„Tyżeś, tyżeś to, bracie rodzony?
Bogu dzięki, żem cię jeszcze ujrzał
i że żrąca minęła tęsknota!
ale ran tych przeboleć nie mogę —
niech ci będzie ma krew odpuszczona".
I skończywszy mówić, oddał ducha.
Nad nim Predrag zawodząc zawodzi:
„Och, Nenadzie, moje słonko jasne!
Wcześnie wzeszłoś mi, słoneczko moje,
i tak wcześnie zaszłoś mnie, biednemu!
Mój kwiatuszku z zielonych ogrodów!
Wcześnieś zakwitł mi, kwiatuszku miły,
i tak wcześnie zwiądłeś mnie, biednemu!"
I zza pasa nóż wyjmuje ostry
i przebija sobie nożem serce,
pada martwy obok swego brata.

III.

Szeroko reprezentowany w poezji ludowej jest cykl pieśni o królewiczu Marku. — Historyczny królewicz Marko był synem króla Wukaszyna. Urodził się około roku 1335. Był posłem cara Urosza w Dubrowniku. Ożenił się z Heleną, córką wojewody Hlapena, z którą nie żył w zgodzie. Po śmierci ojca zasiadł na tronie, ale sąsiedni książęta serbscy ograbili go z wielkiej części ojcowizny. Uznał nad sobą władzę sułtana, jako lennik. W charakterze wasala tureckiego, brał udział w wyprawie przeciwko wojewodzie wołoskiemu Mirczy, poległ pod Rowinami, w 1395. — W poezji ludowej jest symbolem bohaterstwa, szlachetności i dobroci serca, chociaż nie brał udziału w bitwie na polu Kosowem. Grób królewicza Marka znajdował się podobno w klasztorze Marka na południe od Skoplia, jeszcze w roku 1878. Dziś niema śladu tego grobu. — Koń królewicza Marka, Srokacz, jest to koń dziwny, sprawny, krępy, szybki, wściekły (wszystkie te epitety stale się o nim powtarzają). Rozumie mowę ludzką, odpowiada jak człowiek; umie nawet po turecku. Pije dużo, nie mniej od swego pana. Przepływał Dunaj, dopędził lecącą wiłę itd. Oto pieśń

O ŚMIERCI KRÓLEWICZA MARKA

Wcześnie rano wstał królewicz Marko,
wstał w niedzielę przed świtem i jechał
ponad morze, pod Urwinę-górę.
Kiedy stanął Marko pod Urwiną,
jego Srokacz zaczął się potykać,
i potykać i łzy począł ronić.
To Markowi bardzo przykre było,
więc przemówił Marko do Srokacza:
„Hej, Srokaczu, miły mój koniku!
Oto mija 160 latek,
odkąd my się znamy, mój Srokaczu;
jeszcze nigdy mi się nie potknąłeś,
dziś dopiero jąłeś się potykać,
i potykać i łzy z oczu ronić.
Pan Bóg raczy wiedzieć, ale czuję,
że nie będzie z tego nic dobrego
bądź dla mojej głowy, bądź dla twojej".
Gdy przemówił tak królewicz Marko,
Woła wiła spod Urwiny-góry,
przywołuje Marka królewicza:
„Pobratymcze, Marku królewiczu!
czy wiesz, bracie, czemu koń się potknął?
opłakuje ciebie, pana swego,
bo niedługo już się rozstaniecie".
Odpowiada na to Marko wile:
„Wiło biała, bodajś chrypkę miała!
Jakże mam się rozstać ze Srokaczem,
kiedym zjechał miasta i krainy
ode wschodu do zachodu słońca?
Nad Srokacza lepszych koni niema,
ni lepszego niźli ja junaka!
Ani myślę rozstać się z Srokaczem,
dokąd głowę noszę ja na karku".
Lecz mu wiła biała odpowiada:
„Pobratymcze, Marku królewiczu!
Nikt Srokacza tobie nie zabierze,
ani możesz polec, bracie Marku,
z rąk junaka, ni od szabli ostrej,
ni od włóczni, ni od buzdyganu.
Żaden junak ziemski ci nie groźny,
ale umrzeć masz, nieszczęsny Marku,
z ręki Boga, z rąk starego kata.
Jeśli nie chcesz dać mym słowom wiary,
to gdy będziesz na tej góry szczycie,
poprzez prawe ramię spójrz na lewo,
a zobaczysz dwie wysmukłe jodły,
co nad całą puszczą wystrzeliły,
zielonymi liśćmi się okryły,
między nimi jest krynica-woda.
Tam zatrzymaj, bracie, Srokacza,
spiesz się z konia, przywiąż go u jodły,
nad kryniczną wodę sam się pochyl —
twarz swą ujrzysz w tej krynicznej wodzie,
i zobaczysz, kiedy ć śmierć pisana".
Więc usłuchał Marko rady wiły.
Kiedy stanął na tej góry szczycie,
poprzez prawe ramię spojrzał w lewo
i zobaczył dwie wysmukłe jodły,
co nad całą puszczę wystrzeliły,
zielonymi liśćmi się okryły.
Tu zatrzymał Marko bieg Srokacza,
zesiadł z konia, u jodły przywiązał,
nad kryniczną wodę się nachylił,
twarz swą ujrzał w tej krynicznej wodzie.
Gdy zaś Marko swoją twarz zobaczył,
widział Marko, kiedy umrzeć musi,
więc przelewał łzy i tak przemawiał:
„Piękny kwiecie, o fałszywy świecie!
Piękny byłeś, a jam żył za krótko!
Hej, za krótko: tylko trzysta latek!
Przyszło pora, żebym świat opuścił".
Wydobywa więc królewicz Marko,
Wydobywa ostrą szablę z pochwy,
przystępuje do Srokacza-konia,
uciął szablą głowę Srokaczowi,
by koń jego nie wpadł w ręce Turków,
by nie służył jego Srokacz Turkom,
by nie woził dla nich dzbanu z wodą.
A gdy zabił Marko konia swego,
to pogrzebał tam Srokacza-konia —
piękniej grzebał, niż Andrzeja-brata.
Ostrą szablę przełamał na czworo,
by się szabla Turkom nie dostała,
by się szablą Turcy nie chlubili,
że od Marka w spadku ją dostali,
by chrześcjanie Marka nie przeklęli.
A złamawszy Marko ostrą szablę,
włócznię swoją złamał na siedmioro
i rozrzucił po gałęziach jodeł.
Ujął Marko pierzasty buzdygan,
prawą ręką ujął go w połowie,
potem zrzucił go z Urwiny-góry
do sinego morza głębokiego
i przemówił tak do buzdyganu:
„Kiedy z morza wyjdzie mój buzdygan,
drugi taki junak niech powstanie!"
Gdy królewicz Marko broń swą zniszczył,
wydobywa pióro z poza pasa,
a z kieszeni papier gładziuteńki,
taki pisze list królewicz Marko:
„Kto bądź przyjdzie na Urwinę-górę
między jodły, nad kryniczną wodę,
i zastanie tam junaka Marka,
niech się dowie, że nie żyje Marko.
Ma zaś Marko troje trzosów skarbów;
jakich skarbów? Żółte to dukaty.
Jeden z trzosów ja mu darowuję,
że pogrzebie godnie moje ciało;
drugi z trzosów niech przypadnie cerkwiom,
trzeci z trzosów — ślepym i ułomnym:
niewidomi niech po świecie chodzą,
niech śpiewają, Marka wspominają".
Gdy napisał Marko list ozdobnie,
pismo rzucił na jodłową gałąź,
by widoczne było pismo z drogi;
złote pióro swe do studni wrzucił,
zdjął zieloną delię Marko z siebie,
pod jodłami ją na trawie kładzie,
siadł na delii, krzyżem się przeżegnał,
oczy przykrył sobolim kołpakiem,
już nie powstał, gdy się tam położył.
Martwy leżał Marko przy krynicy
cały tydzień jeden dzień po drugim.
Kto bądź kolwiek szedł szeroką drogą
i zobaczył Marka królewicza,
każdy myślał, że śpi sobie Marko —
więc omija miejsce to zdaleka,
bo się boi, żeby go nie zbudzić.
Gdzie jest szczęście, tam nieszczęście bywa,
gdzie nieszczęście jest, tam jest nieszczęście;
pokierował dobry los w to miejsce
z Góry Świętej mnicha Wasylego,
z białej cerkwi, z cerkwi Hilandaru,
wraz z diakonem jego Izajaszem.
Kiedy Wasyl-mnich zobaczył Marka,
na diakona prawą ręką macha:
„Ciszej, synu, byś go nie obudził,
bo zły bywa Marko z przebudzenia
i nas obu łatwo zabić może".
Patrząc Wasyl na śpiącego Marka,
ujrzał nad nim pismo na gałęzi,
stanął przed niem, pismo odczytywał:
pismo głosi, że nie żyje Marko.
Wtedy z konia spieszył się na ziemię,
za ramiona jął potrząsać Marka,
ale Marko dawno ducha oddał.
Więc łzy przelał proihumen Wasyl,
Marka bowiem bardzo żal mu było;
odpasuje mu trzy trzosy skarbów,
odpasuje, sobie przypasuje,
myśląc myśli proihumen Wasyl,
gdzie martwego ma pogrzebać Marka;
myśląc myśli, wkońcu tak umyślił:
bierze Marka na swojego konia,
na brzeg morski zawiózł go na koniu,
z martwym Markiem wsiada na galerę,
wprost do Góry Świętej go zawozi;
wyladował pod Hilandar-cerkwią,
zaniósł Marka do Hilandar-cerkwi,
czytał nad nim modły za umarłych,
ciału jego śpiewem dał posługę
pośród białej cerkwi hilandarskiej.
Tam pogrzebał Marka królewicza,
a żadnego znaku nie postawił,
by nie wiedział nikt o jego grobie,
by wrogowie na nim się nie mścili.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

---

narni, nieodnowione czworaki walą się, woda przecieka przez dziurawy dach, wilgoć rozlewa się po ścianach, a „dziecka" kaszlą. Kempka nie rozumie, że to kryzys trzyma cały prawie świat w kościstych ramionach. On wie tylko, że „rząd" nie dotrzymał obietnicy. Ani ziemi, ani domu, ani konia o którym marzył.

Wyjeżdża z kraju. Paryż... „Moulin Rouge", „Opera", dancingi, kabarety — Mekka tysięcy nierobów z całego świata.

A dla chłopa polskiego?

Kubek wina, bułka pszenna i czysta przestronna izba. A więc raj. Ale prędko poznaje Kempka cierpkość francuskiego wina. Właściciel folwarku jest podobny do polskiego dziedzica. Z tą różnicą, że odróżnia Francuzów od Polaków, traktując tych z nieukrywaną pogardą.

„Sale polonais" — brudny Polak. Te słowa coraz częściej słyszy Kempka na słonecznej, francuskiej ziemi. Zresztą wszyscy patrzą na niego z góry. I chłop polski, poznaje drugie upokorzenie — narodowe.

Odtąd głowa jego pochyla się jeszcze niżej, a plecy zginają głębiej. Ale jednocześnie zaczyna myśleć o rzeczach, które „dotychpór" były mu obce. W tym wszystkim spostrzega, a raczej odczuwa, jakieś nieporozumienie. Oto natknął się na ścianę — niechęci wyczarowaną do niego jednym słowem „polak". Drugi raz. Pierwszy to było, w 20 r. Rosjanie mówili na nich: „Wot polaczki — pany".

A Francuzi — „sale polonais". A przecież nie był ani panem, ani brudnym. Polakiem? Tak. I również ciemnym chłopem. To prawda. Nie umiał czytać ani pisać. I Francuzi śmiali się z tego.

Los sezonowego robotnika rolnego jest ciężki. Kiedy nastaną jesienne roztopy i sine zwały chmur przesłonią słodkie niebo Prowansji, chłop polski rusza błotnistą drogą szukać pracy. Nieraz wtedy wspomni sobie gnuśny, polski razowiec, bo bułek pszennych Francuzi nie dają za darmo. Więc głód. Kryzys dosięga i Francję. O pracę coraz trudniej. Na Polaków patrzą nienawistnie. Odbierają chleb Francuzom. Pracują za psie pieniądze. Mają minimalne potrzeby. Wiadomo „sale polonais". Więc won (po francusku: „a bas"). Kempka wraca do kraju. Nie całuje ziemi ojczystej — nie ściska w pięści podlaskiego piachu, jak dziedzic z Samoseków. Nie przynosi też jak tamten majątku. Przychodzi nędzarzem, tak jak poszedł. Ale teraz rozumie wiele spraw, a przynajmniej odczuwa. Otoczony szacunkiem i zaufaniem wszystkich robotników reprezentuje ich interesy wobec dworu. A że jest umiejętnym i sumiennym pracownikiem dziedzic toleruje jego „wybryki". Próbuje zresztą przeciągnąć go na swoją stronę. Proponuje mu stanowisko polowego, lub karbowego. Kempka jest jednak nieczuły na te „honory" i woli pozostać przy swojej czwórce fornalskiej. W domu, to znaczy na czworaku, Kempka jest spokojny, zgodny. W jednym tylko wypadku wychodzi ze siebie kiedy przywiązany do niego jak psiak syn Janek ucieka od książki. Wtedy leje go rzemykiem, beznamiętnie, metodycznie aż niebieskooki urwis nabierze ochoty do nauki.

Pamięta dobrze „Sale polonais", niespełnione obiecanki z 20 roku i zna dobrze grozę i potęgę czarnych tajemniczych znaków.

We wrześniu 1939 roku ma już przeszło 40 lat, ale powołany do swego batalionu saperów, bierze udział w wojnie. Po kilkunastu dniach walki i odwrotu wzięty do niewoli, ucieka i powraca do domu. To już jego ostatni powrót pod czworacki dziurawy dach.

Nie danym mu było powrócić z najcięższej podróży do Oświęcimia.

Długo, długo namyślał się zanim „stanął do roboty". Ale kiedy już zaczął wiadomo było, że nie zawiedzie. Na swoim niewielkim odcinku pracował wzorowo. Gromadził broń i sprzęt, przekazywał wiadomości. W długich szczerych rozmowach mówił o Polsce, która go „dotychpór" prześladowała, ścigała, jak cień, że powstanie ona zbudowana jego „rękami" i z jego woli. Gadał o niej dużo i myślał. A przyszłość jej wiązał zawsze ze swoim Jankiem.

Potem przyszła rzecz która ma krótką nazwę: wsypa.

Wzięto Kempkę do więzienia. Tam już historia całkiem banalna. Bity, kopany, do utraty przytomności nie powiedział im nic. A, że był „zwyczajny" bicia, więc wytrzymał.

I pojechał do Oświęcimia.

Ostatnia podróż: Czwarta. Pierwsza: wojna. Druga: głodowa emigracja. Trzecia: wojna. Czwarta: obóz koncentracyjny. Po trzech miesiącach przyszła depesza. Lager Auschwitz, zawiadamia, że Marcin Kempka zmarł na zapalenie opon mózgowych.

Jego życie nie było pełne przygód i awantur, wzlotów i upadków, było nieustanną cierpliwą walką człowieka o uznanie jego człowieczeństwa.

Marcin Kempka żył jak miliony chłopów, zmarł, jak tysiące. Został po nim syn — Janek.

Witold Zalewski

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Nowy realizm malarski

Wystawa prac J. Mierzejewskiego w Łodzi

PARĘ SŁÓW WSTĘPU

Artykuł w tygodniku „Wieś", poświęcony twórczości młodego malarza, który wystąpił na wystawie zorganizowanej w dużym mieście, wydaje się tak niezwykły w naszym chłopskim piśmie, — i rzeczywiście, jest to pierwsza recenzja plastyczna, drukowana na przestrzeni 20 miesięcy istnienia tygodnika, — że koniecznym się wydaje poprzedzić tę próbę wprowadzenia nowego tematu na łamy pisma obszerniejszym i specjalnym wstępem; niech służy on za uzasadnienie, czemu na tym oto miejscu znalazła się rozprawka o malarskiej wystawie, i czego spodziewa się redakcja nasza, decydując się przedstawić czytelnikom tych kilka reprodukcji.

Recenzja z wystawy, krytyka plastyczna, artykuł o malarstwie wydaje się bowiem ostatnim z tematów, jakim mogłoby się zająć pismo chłopskie, choćby społeczno-literackie. W hierarchii osiągnięć, jakie musi sobie zdobyć już nie tylko chłopski samouk, działacz czy nauczyciel, ale nawet poeta, literat, dziennikarz ludowy, — wykształcenie plastyczne stoi na miejscu ostatnim, tak odległe się wydaje od palących problemów socjalnych, kulturalnych, pedagogicznych, które wszystkie od razu wyłaniają się przed podnoszącą się klasą. Oczywiście, słyszeliśmy nieraz i widzieliśmy w programach Instytutów Ludowych i w projektach Wydziałów Kultury ów przedmiot — sztuki plastyczne — jako dyscyplinę, do której pełne prawo ma nowy chłopski odbiorca kulturalny, sposobiący się do przejęcia całego bez wyjątków dziedzictwa cywilizacyjnego swego narodu. Z reguły wypowiada się w tych planach jednym tchem: literatura — teatr — muzyka — malarstwo, ale o ile tamte trzy dziedziny nie mogą się uskarżać na zaniedbanie, o tyle ostatnia jest doczepką wypowiadaną automatycznie, gołosłownym dezyderatem, sakramentalnym uzupełnieniem formuły; spełnia raczej rolę ukazania perspektywy przyszłości, niż rzeczywistego programu na bliskie dni.

TRADYCYJNA ROLA MALARSTWA

Dzieje się tak z dwóch powodów: po pierwsze, do sztuk plastycznych przylgnęła opinia o ich małej lub zgoła żadnej społecznej przydatności. Szczególnie w dzisiejszej atmosferze przemian i kataklizmów historycznych musi się wydawać malarz, zamknięty w swej pracowni przed sztalugami z pędzelkiem w ręku — osobą najzupełniej prywatną, a praca jego, w najlepszym razie, może się przyczynić do „kształcenia estetycznego smaku i upiększania życia codziennego", co przecie w tragicznej naszej epoce nie może być uważane za funkcję zasadniczą. Po drugie, zainteresowanie sztukami plastycznymi jest typowe dla klasy stojącej na wysokim szczeblu wyrafinowania: „Salon", „recenzja malarska", — to określenia znane li-tylko w bardzo elitarnym życiu kulturalnym; pisze z niechęcią jeden z autorów „Pamiętników chłopów": „Te panie i panowie, zajęte rasowymi pieskami, wyścigami konnymi i wystawami obrazów..." Nic więc dziwnego, że gdy recenzja malarska ze stronic wytwornych magazynów dla paru górnych tysięcy przechodzi na karty chłopskiego tygodnika, bodajże po raz pierwszy w ubogich dziejach prasy ludowej, tak bardzo wciąż prowincjonalnej, — że możemy to uważać w gronie naszym za małą uroczystość...

NOWA RECENZJA

Ale nie będzie ta nowa recenzja wychwytywaniem estetycznych ciekawostek, czy prywatnym wychwalaniem lub ganieniem osoby malarza, — jak bywało niekiedy w zwyrodniałej już recenzji „artystowskiej" i mieszczańskiej. Dziś wypadnie nam zająć się tym tylko artystą, i w taki tylko sposób, — który przyniesie pomoc, wzbogacenie, oświetlenie współczesnej przez nas budowanej kulturze ludowej. Nie jest to rodzaj recenzji łatwy; minie zapewne wiele lat, nim wykształcą się jego zasady, nim ustalą się nowe teorie oceny, nim wyłonią się nowi krytycy. I my dzisiaj nie mamy jeszcze prawa by stwierdzać że nowa krytyka już się narodziła. Spróbujmy przecież, jeszcze skromnymi naszymi środkami, odpowiedzieć na pytanie: czego możemy się nauczyć — właśnie my, chłopscy pisarze — patrząc na obrazy Jerzego Mierzejewskiego, wystawione w Łódzkiej galerii, i naukę tę przekazać naszym czytelnikom, którzy wszak długo jeszcze, po wsiach i prowincjach rozproszeni, będą musieli uważać wystawy obrazów za „miejskie" zdarzenia prywatne, im nie dostępne i ich nie obchodzące, — spróbujmy ich przekonać, że tak nie jest.

PODOBIEŃSTWO SYTUACJI MALARSTWA I LITERATURY

Jest faktem znanym z historii sztuki, że w rozwoju form artystycznych istnieje równoległość, tj. że zarówno muzyka, jak malarstwo i literatura ulegają w tym samym czasie podobnym przekształceniom. I tak poezji romantycznej odpowiadała romantyczna muzyka, i romantyczna plastyka, a poszukiwania formalne na terenie sztuki w ostatnim dwudziestoleciu widoczne były zarówno w twórczości Szymanowskiego — muzyka, Przybosia — poety, czy St. Ig. Witkiewicza — malarza. Ewolucja ta nie postępuje całkiem równolegle, i niekiedy jedna z tych sztuk wyprzedza drugą, służąc pozostałym jako wzór. Współpraca ta podkreślona jest przez fakt, że literatura świadomie szuka inspiracji w innych dziedzinach sztuki i próbuje się do nich zbliżyć. W okresie, gdy poezja pragnie wyrażać indywidualne subtelne, wewnętrzne doznania, ma ona skłonność by wzorować się na muzyce; tak było w okresie symbolizmu (francuski poeta Verlaine wskazywał na muzykę jako na rodzaj sztuki do którego powinny zmierzać wszystkie inne), modernizmu (kult Szopena), u współczesnych poetów (Iwaszkiewicz-Szymanowski). Znowu w okresie realizmu, literatura orientuje się raczej na malarstwo; tak było w dwóch wielkich epokach realizmu: francuscy naturaliści Zola i bracia Goncourtowie inspirowali się współczesnym malarstwem impresjonistycznym do tego stopnia, że



opisy natury u Goncourtów są jakby recenzjami z pejzaży współczesnych. Podobnie było na schyłku XVIII stulecia, — np. racjonalista francuski Diderot interesował się żywo malarstwem i był autorem zbioru krytyk „Salons". I u nas w okresie pozytywizmu współpraca malarzy i pisarzy była bliska jak rzadko (Sygietyński).

Teza podana tutaj — że istnieje regularna, „falowa" niejako zależność między malarstwem a literaturą, jest bardzo ogólnikowa i trywializuje sprawy sztuki, które są bardziej złożone niż nakreślono w tym miejscu w paru zdaniach; niemniej, w najogólniejszym uproszczeniu, jest chyba słuszna, i pozwoli nam odpowiedzieć na pytanie, jakiej nauki spodziewamy się po analizie wystawy Mierzejewskiego. Pisze S.L. w przedmowie do „Kolumny młodych" w ostatnim numerze „Wsi": „Obecnie walki literackie toczą się między poetami generacji międzywojennej, najmłodsi przeważnie nawiązują do istniejącej tradycji literackiej. Ten brak aktywności jest zastanawiający. Trzeba dziś, w przeciwieństwie do okresu po wielkiej wojnie, gdy w życie literackie wtargnęło pewne siebie i walczące ze „starzyzną" młode pokolenie, — trzeba chyba ze świecą wyszukiwać młodych, i zachęcać ich do odwagi, samodzielności, do zrywania ze starymi wzorami i szukania nowych dróg. Bo aktualny temat, palące zagadnienie współczesne unicestwia u „młodych" literacka maniera z przedwrześniowych czasów".

ANALIZA OBRAZÓW MIERZEJEWSKIEGO

Właśnie twórczość Mierzejewskiego możemy uważać za przykład przezwyciężenia dawnych przyzwyczajeń artystycznych, i dlatego — za przykład, który może być powtórzony także w dziedzinie literatury.

Zastanówmy się, jakiego rodzaju tradycje odziedziczył młody artysta. Ojcem jego był wybitny malarz polski, Jacek Mierzejewski, i wpływ stylu ojcowskiego widać na pierwszych dziełach syna. Jaki to był wpływ? Kierunek, do którego zbliżona była twórczość Mierzejewskiego — ojca, nazywano „ekspresjonizmem". Prąd ten był gwałtowną reakcja na „naturalizm" i „impresjonizm"; te ostatnie kierunki postawiły sobie za cel dawać beznamiętną, bezosobistą, objektywną kopię rzeczywistości. „Impresjonizm" doprowadził do wielkiego wysubtelnienia tego kierunku; artysta notował naskórkowe, powierzchniowe, przemijające „wrażenia", („impressio") starając się możliwie usunąć swoją osobę i swój własny sąd.

Ekspresjonizm przeciwnie, stwierdzał, że objektywny, bezstronny obraz świata jest nieważny. „Istotne jest jak JA świat widzę, nie jak on w rzeczywistości wygląda". Ekspresjoniści malowali swoje marzenia, sny i halucynacje; przedmioty u nich były krzywe, dziwaczne i niepokojące w kolorze, niepodobne do prawdy. Nie to było ważne, jaką jest rzeczywistość, tylko jak ją przeżywa artysta; malował on swój stan ducha, a nie prawdziwy wygląd przedmiotów dokoła, — wyrażał swój niepokój, namiętność czy uciechę przez zniekształcenia, deformacje, groteskę. Stąd kierunek ten zmierzał nie do prawdy, a do patosu, krzykliwości, dramatycznej siły wyrazu (expressio—wyraz).

Taki właśnie wyraz własnych przeżyć „duchowych" próbuje nam dać młody Mierzejewski w obrazie „Popłoch", w jednym z owych młodzieńczych utworów, pozostających pod wpływem tradycji na której tle wyrósł. Tematem tego obrazu jest rzekoma „głębia" przeżyć artysty, który próbuje nam je ukazać w formie symbolicznej. Widzimy więc na środku płótna wielkiego białego konia, pędzącego przez pole. Ale nie jest to koń rzeczywisty, taki jakiego moglibyśmy spotkać w życiu. Szyja jego jest niepomiernie długa, a rozwiana grzywa układa się w zębaty kształt geometryczny; głowa uniesiona do góry i zastygła w tym ruchu przypomina jakby konia drewnianego. Korpus tego fantastycznego zwierzęcia tworzy biały, zygzakowaty, niepokojący kontur biały, przecinający ciemny i w posępnym kolorycie utrzymany obraz na dwie części. Na koniu tkwi jeździec, z twarzą ukrytą w grzywę końską, pogrążony jakby w zapamiętałej kontemplacji, ale nie jest to wszak myśliciel, bo nosi prostę ubranie robotnicze, co jeszcze podkreśla dziwaczność obrazu. Pole z tyłu za jeźdźcem jest ciemne, posępne, niebo chmurne, nieożywione żadnym przedmiotem. Tylko w głębi widzimy postaci zastygłe w rozmaitych baletowych gestach pogoni, pracy, tęsknoty — z wyciągniętymi rękami, niepokojące, dziwaczne, niezrozumiałe.

Inny obraz podobnego typu, zatytułowany „Droga", przedstawia tłum figur osobliwie zdeformowanych: widzimy tam garbusów, bezrękich, beznogich o kulach. Twarze ich sztywne, zakrzepłe, o grubych rysach, pozbawione wyrazu i wrażliwości. Co oznacza ta odrażająca i zasmucająca widza grupa? Wyraża ona zapewne myśl, że ludzkość jest taką masą nieszczęsnych i niewrażliwych kalek, zagubionych na nieznanej drodze bez celu.

NOWA DROGA

Obrazów takich jest na wystawie zaledwie kilka: widzowie zatrzymują się przed nimi zdumieni, ale bynajmniej nie doznają uczuć, jakie zapewne chciał wywołać malarz. Dlaczego obraz z koniem nazywa się „Popłoch", kiedy nie widać tam żadnej ucieczki, a przeciwnie, wszystko jest zastygnięte, i raczej przypomina „Dążenie", „Pięcie się wzwyż", czy jakiekolwiek inne uczucie? W takich naiwnych sformułowaniach wyraża się krytyka dzisiejszego widza, nierzadko reagującego złośliwym uśmiechem, co jest efektem zupełnie już niezamierzonym przez artystę. Ale dobrze się stało, że Mierzejewski zdecydował się pokazać nam te pierwociny; właśnie one pozwalają nam, przez porównanie z późniejszymi jego dziełami, wysnuć wnioski bardzo pedagogiczne i dla naszej, literackiej dziedziny.

Bo większość obrazów, składających wystawę, to już styl zupełnie inny, wypracowany przez artystę pod wpływem przemyśleń ostatniego roku. Tu widzimy dziesiątki portretów, przedmiotów, scen pracy i życia ujętych zgoła inaczej. Nowa ideologia artysty jest ideologią REALIZMU. Cały rok poświęcił Mierzejewski na pracę malarską w rodzinnych Piotrowicach, w trudnych warunkach materialnych, pracując jednocześnie na roli; zasób obserwacji z tej dziedziny jest u niego tak obszerny, że możemy go uważać za malarza pewnego wycinka rzeczywistości wiejskiej.

Cóż więc się stało? Czy malarz, porzuciwszy dziwaczne fantasmagorie ekspresjonizmu, powrócił do dawnego kierunku, „naturalistycznego", czy „impresjonistycznego"? Taki nawrót byłby nie tworzeniem nowej sztuki, dostosowanej do współczesnych potrzeb, a po prostu nietwórczym cofnięciem się w tył. U Mierzejewskiego obserwujemy inne, bardzo pouczające zjawisko: **wykorzystanie zdobyczy ekspresjonizmu i zastosowanie ich w nowym stylu.** Dlatego rodzaj który próbuje wypracować Mierzejewski, możemy nazwać NOWYM REALIZMEM.

Oto na przykład obraz, przedstawiający sad. Jest to wierne, rzeczywiste oddanie fragmentu pejżażu typowego dla naszej wsi, i nawet niezbyt ciekawie dobranego, — takiego ot, najzupełniej przeciętnego. Niema tu nawet pagórka, czy większego drzewa, któreby podkreślało malowniczość czy charakterystyczne cechy miejscowości. Oto kawałek płaszczyzny, na której widzimy sześć czy siedem rozrzuconych drzew, najzupełniej zwyczajnych. Podobnę tematy malowali i impresjoniści. Jest jednak coś, co nie od razu rzuca się w oczy, a co odróżnia ten obraz zasadniczo od sposobu patrzenia impresjonistycznego. Impresjonista bowiem malowałby tak, jak widać pejżaż w ściśle określonej porze roku, miesiąca i dnia: to byłby „sad w poranek marcowy", czy „w wieczór zimowy". Impresjoniści posuwali się do tego, że starali się zachować wrażenie, jakie daje natura w czasie bardzo krótkim i zmiennym, np. w ciągu trzech pierwszych minut wschodu słońca, kiedy wszystkie przedmioty są różowe. Kiedy Mierzejewski oglądał swój sad? Nie potrafimy odpowiedzieć na to pytanie. Może to być zarówno wiosna, jak jesień, a nawet tak dobrze lato czy zima bezśnieżna. Może nawet śnieżna, — bo nie potrafimy odpowiedzieć, czy nieokreślony, mdły koloryt drzew nie oznacza w tym malarskim języku śniegu. Jest to zarówno zmierzch jak świtanie, — i oto dochodzimy do sedna: Mierzejewski maluje



realistycznie, ale podkreśla abstrakcyjne elementy rzeczywistości. Jego sad, będąc niewątpliwie rzeczywistym, jest jakby znakiem, symbolem sadu w ogóle.

Inna cecha, odróżniająca go od impresjonistów: eliminacja zbędnych szczegółów. O ile tamci starali się ukazać wszystko, do najdrobniejszych charakterystycznych błyśnięć, o tyle Mierzejewski rysuje tylko tyle, ile jest niezbędne dla rozpoznania przedmiotu. Jego twarze nie mają zmarszczek, przedmioty zadrapań, sukna-fałd, a mają kontury i bryły. Malując przedmioty rzeczywiste, artysta rozstawia je przecież w sposób niezwykły w przyrodzie, przeciwny prawom ciążenia i perspektywy. Starannie reprodukowane owoce zdają się zsuwać z blatu, i widz ogarnięty jest niepokojącym uczuciem, że spadną za chwilę; poziom krzesła nie jest równoległy do poziomu podłogi, a barwy, tęgie i wyraziste pasy, również podkreślają osobliwość tej rzeczywistości. Przedmioty są ostro obrysowane, obkonturowane; wreszcie rozumiemy zamiar artysty: uniezwyklić świat rzeczywisty, ukazać jego dziwność, poetyczność; nie wykraczając poza rzeczywistość, nie deformując jej, — jednak — podkreślić jej wartość dla nas, — i przez to z rzeczywistością nas pogodzić. W taki sposób, jak się zdaje, możemy odczytać nowe credo młodego malarza. Niekoniecznie musimy je uważać za osiągnięcie, za zdobycz; raczej trzeba tę postawę traktować jako pomost do nowej, nadchodzącej sztuki. W tej dziedzinie jest Mierzejewski dla nas przykładem postępu: zastosowania do nowej twórczości doświadczeń epoki odchodzącej i tu stanowi analogię do naszych chłopskich realistów, poszukujących, po doświadczeniach awangardy, formizmu, ekspresjonizmu, nowych form realistycznych — ale form innych, niż owe z przed lat pięćdziesięciu.

„KOPACZKI"

Gdy patrzymy na obraz „Kopaczki", jedno z najudatniejszych dzieł malarza, przychodzi nam na myśl jeszcze zasadnicza refleksja. Oto cztery kobiety, na posępnym i jednostajnym tle pola i nieba, wyrywające z wysiłkiem ziemniaki z jesiennej grudy. Wszystkie wyliczone wyżej cechy malarstwa Mierzejewskiego widoczne są w tym obrazie, — i jeszcze jedna: podkreślenie wysiłku, brutalności, nawet brzydoty pracy. I to jest dziedzictwem ekspresjonizmu. Ale artysta stonował ten wydźwięk, jakkolwiek go zachował; nie robi ten obraz tak rozdzierającego wrażenia, jak np. drzeworyty Kulisiewicza o potężnej, agitacyjnej wymowie społecznej. Tu rzeczywistość jest dość prawdziwa, by sztukę określić jako realistyczną, ale też dość „artystyczna", by ją nazwać stylizatorską. Dlatego wydaje się, że okres nadchodzący nie będzie przypominał naturalistów z ich obsesją ścisłej prawdy, a raczej ich poprzedników, Milleta, Corota i Teodora Rousseau, — malarzy prawdy i pracy ujętej w hiperbole i alegorie.

Zygmunt Kałużyński

Nr 10 (38) „WSI" ZAWIERAŁ:

Jan Aleksander Król — **Chłopska szlachetczyzna**; Józef Andrzej Frasik — **Moja polna różyczko, Przedwieczorne**; Józef Ozga - Michalski — **Poemat Nowosielecki**; Piotr Stanisław Ziarnik — **Czy regionalizm?**; Dr Mieczysław Kafel — **Początki polskiej prasy w zaborze pruskim**; Antoni Olcha — **Nowa Naprawo — stań się!**; Stefan Lichański — **Na pograniczu dwu stylów**;; Stanisław Piętak — **Na warcie**; Jan Baranowicz — **Dwie burze**; Tadeusz Muras — **Jesień pasturzy, Młodość snem natchniona**; Leszek Góliński — **Jeden namiot..., Matce**; Klemens Oleksik — **Jan Kochanowski w kaplicy kościoła w Zwoleniu**; Józef Bieniek — **Bimber, bimberek, bimbereczek** oraz noty i ogłoszenia, 6 ilustracji. 8 stron.

STEFAN LICHAŃSKI

Autorzy i czytelnicy

PRZYZNAJĘ SIĘ...

To, co zamierzam dziś napisać, będzie poniekąd moją osobistą kompromitacją, mam bowiem zamiar przyznać się do pewnego podstępu, jakiego dopuściłem się całkiem świadomie i z wyraźną złą wolą. Chodzi tu o mój „Projekt powieści o Szeli", drukowany w 9 nr „Wsi". Sprawa Szeli była tam dla mnie pretekstem do praktycznego zademonstrowania aparatu krytyki inspiracyjnej, projektującej. Wychodziłem tu z następującego założenia: istnieje temat, który mnie interesuje, chciałbym go widzieć zrealizowanym w jakiejś dobrej powieści; sam takiej powieści napisać nie potrafię, ale dlaczegóż nie miałbym tego tematu zaproponować ludziom trudniącym się zawodowo powieściopisarstwem?

MANIFESTUJMY!

Zrobiłem u Związku Zawodowego Literatów Polskich zamówienie i teraz będę czekał, jak się ten szanowny Związek z zamówienia wywiąże. Zignoruje je powiadacie? Ja myślę to samo. Ale pomyślcie, co by było, gdyby tak z 50.000 ludzi czytających książki ogłosiło we wszelkich czasopismach jak również na specjalnie w tym celu zwołanych zebraniach publicznych, że projekt mój akceptują, całym sercem popierają i że nieukazanie się w przeciągu roku dobrej powieści na podany przeze mnie temat będą uważali za afront ze strony Związku Zawodowego Literatów i jawne lekceważenie potrzeb czytelnika.

Co by **wtedy** było? Z całą pewnością można powiedzieć, że ja chodziłbym po ulicach Łodzi szczęśliwy i dumny, dopóki wynajęci przez miejscowych powieściopisarzy skrytobójcy nie zarżnęliby mnie w jakiejś ciemnej ulicy. Ale to jest sprawa zupełnie prywatna. Ważniejsze, jaka byłaby **literacka** reakcja pisarzy na taką masową demonstrację krytyki inspirującej. Nie chcę ryzykować proroctw, ale z całą pewnością twierdzę, że takie wystąpienie zmieniłoby poważnie stosunki między artystą a odbiorcą jego dzieł: zmniejszyłoby dystans, wzmocniłoby wzajemne kontakty, zadzierżgnęłoby nowe porozumienie i rozpaliło nowe konflikty. I dlatego uważam, że gra warta jest świeczki.

Oczywiście, nader mocne wrażenie wywarłoby na pisarzach, gdyby tak pewnego dnia przed dom literatów na ulicy Bandurskiego przybył wielotysięczny pochód niosący transparenty z napisami: „Żądamy powieści o Szeli!", „Piszcie o wójcie Pyrzu!", „Czekamy na utwory o reformie rolnej" itp. Obawiam się jednak, że milicja zaprotestowałaby przeciwko takiej manifestacji. Ale żadna milicja nie może przeciwdziałać temu, aby jak najliczniej napływały odpowiedzi na nasz konkurs-ankietę: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?" Jest to demonstracja mniej efektowna niż ta, której projekt podałem wyżej, ale i ona może mieć pewne praktyczne następstwa.

KTO JEST KRYTYKIEM?

Bo zważmy: nie ma pisarza, który naprawdę byłby zupełnie obojętny na sądy krytyki o nim. Ale cóż to jest krytyka? **Krytykami jesteśmy wszyscy.** Kiedy panna Kazia mówi do panny Jadzi: „Czytałam wczoraj „Trędowatą". Śliczne. Cały wieczór płakałam", — wypowiada sąd krytyczny. Jest to recenzja, którą ze względu na jej lapidarność można postawić za wzór wielu gadatliwym krytykom. Są tu wszystkie elementy „prawdziwej" recenzji: zreferowanie omawianej książki (w danym wypadku wystarczą samo wymienienie tytułu, gdyż treść tej sentymentalnej bzdury jest powszechnie znana), zawartościowanie („śliczne") wraz z uzasadnieniem („cały wieczór płakałam"), co należy rozumieć: śliczne — bo wzruszające. Te same elementy musiałyby się powtórzyć w recenzji z „Trędowatej", gdyby taką recenzję pisali nawet prof. Kleiner czy Artur Sandauer. Oczywiście wartościowaliby oni brechtę p. Mniszek grubo inaczej i swój sąd poparliby argumentacją bardzo misterną i uczoną, ale sam schemat recenzji byłyby taki sam jak u panny Kazi.

ROZRÓŻNIENIA

Różnice leżą w czym innym. Sąd panny Kazi jest **krytyką naiwną,** prostą spowiedzią z doznań emocjonalnych przeżytych podczas lektury pewnego utworu. Inaczej wypadnie sąd krytyka literackiego, który reprezentując pewną określoną ideologię artystyczną będzie z jej stanowiska wartościował przeczytaną książkę. Sąd ten będzie już rozbudowany daleko szerzej i umotywowany daleko poważniej. Krytyk jednak jest zazwyczaj współuczestnikiem jakiegoś ugrupowania literackiego i dlatego skłonny jest bronić interesów bliskiej sobie ideologii artystycznej nawet w sposób daleki od rzeczowości i „obiektywizmu. Wreszcie **krytyka naukowa** przyjmująca za punkt wyjścia dla siebie tylko takie poglądy, które ze stanowiska współczesnej wiedzy można uznać za dostatecznie uzasadnione. Krytyk-naukowiec szuka kryteriów bardziej obiektywnych niż „gust", „dobry smak", czy „racja stanu" jakieś grupki literackiej, stara się nie wypowiadać sądów nieumotywowanych dostatecznie i panować nad swoimi emocjonalnymi odruchami sympatii czy antypatii.

To wszystko, co powiedzieliśmy wyżej odnośnie krytyki wartościującej, da się odnieść i do krytyki nazwanej przez nas inspirującą. Jeżeli panna Kazia zwraca się do kierowniczki wypożyczalni książek z prośbą: „Może mi pani poszuka coś lekkiego", to aczkolwiek zdanie to odnosi się do książek już napisanych, jest w nim zawarta ogólna pochwała literatury „lekkiej" (Mniszkówna, Zarzycka, Kamil Norden) i pogarda dla wszelkiego „nudziarstwa" (Balzak, Dickens, Tołstoj, Prus, Orzeszkowa). Tkwi w tym zdaniu pogląd, że literaci powinni pisać „lekko" — a więc projekt, postulat dla pisarzy. Podobnie jak naiwna krytyka czytelnicza, może w dziedzinie pracy inspiratorskiej działać także krytyka literacka i krytyka naukowa.

GŁOS LUDU — ...

Nie traktuję tego trójpodziału w sposób „zasadniczy", chodziło mi w tym wypadku tylko o scharakteryzowanie postaw **zdecydowanie odmiennych,** między którymi może istnieć mnóstwo faz przejściowych. Uwagę chcę zwrócić na sprawę inną: każda z wymienionych przeze mnie postaw spełnia swoją rolę i każda ma doniosłe znaczenie z punktu widzenia kulturologa i socjologa.

Opinia czytelnika, choćby naiwna, choćby banalna — nie może być lekceważona, zwłaszcza gdy pewien rodzaj naiwności czy pewna odmiana banału występują nagminnie. Każda tego rodzaju wypowiedź jest dokumentem socjologicznym, ułatwiającym zorientowanie się w poziomie umysłowym i typie życia psychicznego tego środowiska, z którego pochodzi wypowiadający się.

Gdyby z odpowiedzi na nasz konkurs wynikało, że Oddział Wiejski ZZLP powinien przerwać druk tomów poezji Kubisza, Frasika i Piętaka, a zająć się zbiorową edycją „dzieł" Zarzyckiej, byłoby to równie ważne i pouczające (choć mniej przyjemne) jak pojawienie się projektów na dzieła mogące być odpowiednikami „Pana Tadeusza", „Faraona" czy „Nad Niemnem". Każda wypowiedź, choćby równie naiwna, jak podawane przeze mnie powyżej wypowiedzi panny Kazi, ma znaczenie conajmniej orientujące. Trzeba zaś uwzględnić i to, że niekoniecznie każdy czytelnik nie umiejący swoich poglądów należycie podbudować naukowo musi pleść takie banialuki jak głupawa panna Kazia. Wypowiedź naiwna — to po prostu wypowiedź niepoparta rozumowymi argumentami, ale z tego nie wynika jeszcze, że musi ona być „musowo" nierozumna.

DIALOG CZY DWA MONOLOGI

O odpowiedzi pisarza na tzw. zamówienie społeczne decyduje dotąd intuicja lub (bardzo rzadko) na własną rękę podejmowana praca nad poznaniem środowiska, dla którego zamierza się pisać. Ale i środowisko może przemówić, może wysunąć swoje postulaty i życzenia. Zbiorowość jest także krytykiem, tylko że krytyk ten dotychczas swoje porachunki z pisarzami załatwiał milczącym plebiscytem popularności lub niepopularności. Trzeba go zachęcić do mówienia. Będzie to z korzyścią dla obu stron (tzn. pisarzy i czytelników) a także i dla niektórych obserwatorów z ubocza.

OSTATNIE WYZNANIE

Artykuł niniejszy zacząłem od pewnego wyznania, pozwólcie więc, że i skończę go też wyznaniem. Przyznam się otwarcie po co pisałem zarówno „Projekt powieści o Szeli" jak i ten szkic, którego lekturę właśnie kończycie: chodziło mi po prostu o to, by sprowokować was, drodzy Czytelnicy, do nadsyłania jak najliczniejszych odpowiedzi na nasz konkurs: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś".

Jednym słowem: znowu eksperyment z zakresu krytyki inspirującej.

Głosy pisarzv

Uwagi nad uwagami

Ogłoszony w „Odrodzeniu" z powodu plagiatu Rudnickiej artykulik J. Przybosia zawiera kilka luźnych uwag o losach prymitywnej twórczości oraz zapowiada powstanie wartościowe, chłopskiej poezji artystycznej w następnym pokoleniu. Sprawom tym warto poświęcić nieco uwagi.

Jak w poezji „uczonej" (termin zapożyczony) tak również w ludowej bywają okresy wzlotów, nasilenia i upadku. Klechdy, baje satyry wiejskie układane były przez ludzi odznaczających się zamiłowaniem do twórczości artystycznej i zawsze jakim takim talentem. Czasy niepisanej poezji na wsi najmniej dawały okazji do naśladowania poetów „uczonych" choćby dlatego, że bajarz nie umiał czytać a i słuchać recytacji nie miał gdzie. Poezje z tego okresu (piosenki) mogły mieć charakter samorodnego płodu, prymitywu nieskażonego wpływami miasta i literatury.

Odkąd pewna część chłopów posiadła sztukę czytania i pisania, nie łatwo wiejskiemu poecie ustrzec się wpływów.

Warto jednak zauważyć, że chodzi tu głównie o formę nie zaś o treść poezji. Po dzień dzisiejszy bowiem poezja ludowa z nieludową wzajemnie na siebie zachodzą, szczycąc się zupełnie widocznymi pokrewieństwami. Poezje Karpińskiego, Lenartowicza, Konopnickiej, Mickiewicza (ballady) wzorowane były na pieśniach ludowych. Któż udowodni, że w tych utworach nie ujawnia się poraz pierwszy ludowa poezja, w formie jedynie nosząca ślady biadolącego lub sielankowego patrzenia autora na życie chłopów? Jeśli chłopi umieli wtedy tylko śpiewać i bajać, niepodobna by wystąpili z dojrzałą artystycznie literaturą.

Następny okres cechuje naśladownictwo formy już ze strony poetów ludowych. Stało się to dlatego, że pieśni śpiewane, gadki i **żarty oblekają się** w pismo. To też chociaż najpospolitszą do dziś w powszechniejszej, powiedzmy: miernej — twórczości poetyckiej na wsi nie przestaje być strofa kalwaryjska o nucie dziadowskiej, poważniejsi poeci ludowi stosują formalne zdobycze tych, których zdołali poznać, przeczytać. Nie widzę przeto powodu do wyrokowania na tej podstawie, czy ludowa poezja ma szanse, czy je traci, jeśli powtarza formalnie Konopnicką, lub Karpińskiego. Nie sama przecież forma decyduje o możliwościach, ani tym więcej o wartości poezji.

W miarę rozpowszechniania się radia, tekstów miejskich melodii itp. twórczość ludowa pozornie przycicha. Śpiewanie „Na wójtowej roli" itp. pospolicieje, prawie nie wzrusza, lecz piosenkarstwo bynajmniej nie zamiera. I dziś pieśni się rodzą nawet nie wzorowane na przyswojonych tekstach, ale po dawnemu same. Jeno warunki życiowe tak bardzo się zmieniły, że nie wszystkie pieśni są tradycyjne tematycznie. Sieroce, pogrzebowe, miłosne, bandyckie, kawalerskie, czy żniwne, I niewiadomo, czy ich spotkamy mniej, niż starych. Zapominamy zazwyczaj o jednym, że dawne pozbierane przez Kolberga i innych powstawały w ciągu kilku wieków, gdy tymczasem nowych się nie publikuje. Słuszność twierdzeń J. Przybosia o zaniku samorodnej poezji ludowej mogłaby stwierdzić jedynie powszechna ankieta.

„Folklor zamiera, twórczość prymitywna jest nie do podtrzymania, hodować jej nie można". (J. Przyboś) Dla ostrożności powinien autor wstrzymać się od przesądzania sprawy, rzekł bowiem wcześniej „my chwaliliśmy Rudnicką dawną, nie mającą fałszywych ambicji „literackich", podobała nam się chłopka odziana w prosty i piękny samodział..." Rozróżnia więc autor tylko dwa gatunki: prymitywny (baje i pisane pieśni), oraz poezję „literacką" (której sam przoduje). Pomijając przykład z Rudnicką zwracamy uwagę, że właśnie dzięki czytaniu, słuchaniu radia i koncertów, oglądaniu przedstawień poeci ludowi nie zatrzymują się na krawędzi prymitywu w rozumieniu J. Przybosia, co jednak bynajmniej nie znaczy, jakoby przeszli pod batutą poetów z miasta. Ziemia, praca, warunki życiowe, dążenia kształtują sens i treść ludowej poezji, a osiągnięcia formalne przyjmowane są według upodobań piszącego chłopa.

Nasunęła mi się uwaga o której J. Przyboś, sądząc z jego formy poetyckiej z pewnością nie pamięta. Myślę o przystępności poezji dla czytelnika. Przypuśćmy na chwilę, że w zakaciu jakimś chłopski poeta zdobyłby się na zawiły formalnie i trudny do odszyfrowania utwór. Mogło by się tak zdarzyć. Cóżby z tym zrobił, nie mając ambicji wydania utworu drukiem? W świetlicy go nie zrozumieją i baba nazwie co najwyżej „zawikłanym". Jedynie proste pod względem formy, lapidarne w obrazowaniu, łatwe w przenośni wiersze, odczytane przy okazji, uchronią poetę od drwin. Wcale to nie bagatelny powód, by unikać skrajnej awangardy.

Z prosta rzecz się przedstawia dwojście: środowisko, słuchacz, czytelnik — talent poety i jego skłonność do nowatorstwa. Dopóki twórca koło siebie szuka odbiorców i od nich czeka uznania, dopóty w/g słów J. Przybosia „nie może jeszcze dać wartościowej poezji artystycznej". Naszym natomiast zdaniem, daje ową poezję z większym lub mniejszym pożytkiem. Staje się on buntownikiem lub filozofem, zabawiaczem lub żałobnikiem, a zależnie do siły talentu i postępowości w miarę rozsądnej — przoduje oraz urabia w tej dziedzinie co skłonniejszych słuchaczy.

Gdy poetę — chłopa nie wyłączamy, jak zwykli to czynić krytycy, z otoczenia, nie osadzamy na Olimpie, lecz traktujemy jako działacza na wsi, to w innym zgoła świetle, w ważniejszej roli wystąpi nawet prymitywna fujarka i kozik artystyczny.

E. Marzec.

Kto jest chłopem w Wielkopolsce?

(Na marginesie dyskusji—„kto jest chłopem?")

Na szpaltach ostatnich nr. „Wsi" toczy się ciekawa, niemal pasjonująca polemika — „kto jest chłopem". Ponieważ głosy te pochodziły spoza Wielkopolski, chciałbym i z tego właśnie terenu dorzucić „trzy grosze". Bodźca do skreślenia poniższych uwag dodał mi mój sąsiad, gospodarz kilkudziesięciomorgowy, który przychodzi niekiedy do mnie na wieczorne pogawędki. Człowiek to już niemłody, oczytany, zwiedził kawał świata w latach kawalerskich i podczas pierwszej wojny światowej i ma w wielu sprawach swój oryginalny sąd.

Onegdaj zastał mnie w trakcie lektury ostatniego numeru „Wsi". Nawiasem dodaję, że wypożyczam mu do czytania ten tygodnik i ręczę głową za to, że czyta go od deski do deski. Odpowiedziałem na jego „Pochwalony" i prosiłem, by zajął miejsce. Skoro to zrobił, zapytałem go obcesowo:

— Słuchajcie, sąsiedzie! Powiedzcie mi kto to jest chłop?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Chce mnie pan kierownik wziąć na kawał, co?

Zaoponowałem.

— Bynajmniej! Sami czytacie „Wieś" i wiecie o tym, że felietonik Barchanowskiej wywołał żywy oddźwięk wśród czytelników „Wsi" i że redakcja zamieściła w tej kwestii kilka ciekawych odpowiedzi.

— Czytałem te listy — przyznał — ale nie wiem dlaczego nie zastanowiłem się nad nimi głębiej. Wiem tylko jedno, że u nas w Wielkopolsce słowo to ma odmienne znaczenie.

— No to może mi wyjaśnicie, sąsiedzie, kogo u nas nazywa się chłopem?

— A czy pan tego nie wie? — Uśmiechnął się.

— Niestety, chociaż sam pochodzę z rodziców wywodzących się ze wsi, nie umiałbym dokładnie sprecyzować definicji: kto u nas jest chłopem, a kto nim nie jest. Leszczyński naprzykład — o patrzcie, pisze tu we „Wsi", że chłop to rolnik, a więc człowiek „z ziemią związany", ktoś dla kogo warsztatem pracy jest ugór wiejski.

— Otóż to! — zawołał żywo mój sąsiad. Poza Wielkopolską (tak mi się wydaje) — słowem „chłop" oznacza się *wieśniaka-rolnika*. (Pan byłby tylko *wieśniakiem*, bo na ziemi nie gospodaruje!). A u nas zasadniczo chłop to mężczyzna, to osobnik płci męskiej, bez względu na to, jaki w życiu uprawia proceder. Przy tym jednak musi to być koniecznie typ człowieka krzepkiego, wyrosłego, szerokiego w barach. W przeciwnym razie nie jest to chłop, a chłopek. Bo proszę pana, u nas w Wielkopolsce słowo chłop to cecha męska dodatnia, zaś chłopek to mizerota. Chyba i pan musiał to już zauważyć u naszych dzieci, że obojętnie jakie zajmuje stanowisko, każdego mężczyznę, który pojawi się na podwórku nazywają chłopem. Mama, tata! Jakiś chłop przyjechał. Bardzo rzadko zaś i tylko wtedy, gdy są lepiej wychowane mówią „pan". U nas chłopem jest każdy prócz księdza!

—Istotnie! Macie rację, sąsiedzie! — Pamiętam, kiedy jeszcze przed wojną zawitał razu pewnego do szkoły inspektor i to samo. chodem, dzieci oznajmiły mi, że „jakiś chłop przyjechał".

— Tak, proszę pana! Bo u nas powtarzam, chłop to ten, co nosi portki (jestem trochę nieścisły, bo dzisiaj nawet na wsi widać niewiasty w spodniach), tak jak każda osoba nosząca kiecki, czy suknie, czy futro nawet jest... kobietą! Wyraz *chłopka* np. jest u nas wogóle nieznany.

— No to czym w takim razie jesteście wy i wasi sąsiedzi?

— My? Ano, poprostu *gospodarzami*.

— Więc ten Antek z końca wsi mający parę mórg ziemi, kulawego konia, również jest gospodarzem?

— Gdzie indziej w Polsce mówiono by, że to *chałupnik*, u nas i on jest psim swędem — „gospodarzem". Bo proszę pana, przyjęło się u nas nazywać każdego, kto na roli pracuje i z niej się utrzymuje, gospodarzem. A samo słowo *gospodarz*, wzięło się chyba z *gospodarstw* nielada, jakich gdzie indziej w Polsce u wieśniaków nie znaleźć. Weźmy i to jeszcze pod uwagę: w naszym powiatowym parotysięcznym miasteczku mamy również rolników, chociaż są mieszczuchami. Powiedz że pan takiemu, że chłop! Obrazi się i tyle. Natomiast nie będzie miał nic przeciw temu, jeśli go pan nazwie np. morowy chłop, czy nawet byczy chłop. Ale zwyczajnie „chłop" jest nie do przyjęcia. Dopiero teraz w nowej Polsce lansuje się i u nas owo „chłop", mające oznaczać człowieka pracującego na roli i z tą rolą ściśle związanego. Ale uważam, że „takiego chłopa" przyniosła na naszą wieś *polityka*.

— Jak się zorientowałem z dyskusji we „Wsi" słowa *chłop* używa się dziś w Polsce na oznaczenie nie tylko „rolnika" i „gospodarza". Pamiętam, jak rok temu na Zjeździe Samopomocy Chłopskiej premier użył w swoim przemówieniu takiej definicji — Związek Samopomocy Chłopskiej, to Zw. Rolników — na co mu gorąco zaprzeczono, że nie tylko rolników, że to poprostu — *„Związek Chłopów"*.

Sprobujemy tę naszą rozmowę przesłać do druku „Wsi". Zobaczymy, co z tego wyniknie. Może wypowiedzą się z terenu Wielkopolski jeszcze inni i wówczas dowiemy się, kto ma rację.

— Proszę pana! Przysłowie powiada: „uderz w stół, a nożyce się odezwią". No, ale na mnie pora do... *kobiety!*

W tej chwili weszła do pokoju moja żona i na odchodnym powiedział do niej:

— Widać i pani ciągnie do swego... *chłopa!* Dobranoc państwu! Acha, jutro pomówię z Dąbkiem, aby wam krowę sprzedał, to' sprawiedliwy *gospodarz*.

P. S. Czytelnicy „Wsi" (ilu was jest?) z Wielkopolski! Bierzcie się za pióra i piszcie! Bo (mówię to w sekrecie!) trochę mi „głupio" że o nas nic we „Wsi" nie słychać! Przecież i „my nie som od macochy".

A. F. Kirło - Nowaczyk

Żórawiniec, pow. Kępno

Towarzystwo Uniwersytetów Ludowych

Poniżej podajemy oficjalny komunikat Zarządu Głównego Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych o zjeździe delegatów wojewódzkich TUL-u. Problemami rozwoju i pracy tej zasłużonej instytucji „Wieś" zajmowała się już wielokrotnie. W jednym z najbliższych numerów naszego pisma znajdą czytelnicy szczegółowe omówienie uchwał powziętych na Zjeździe.

W dniu 1 marca br. odbyła się w Warszawie konferencja Del. Wojewódzkich Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych Rzeczypospolitej Polskiej, poświęcona sprawozdaniom z prac organizacyjnych w zakresie akcji uniwersytetów ludowych na terenie Polski i omówieniu wytycznych dalszej działalności w tym kierunku. Czynne są obecnie 32 uniwersytety ludowe, a organizowanych jest mniej więcej ta sama ilość. Delegaci podkreślali ciężkie warunki materialne personelu pedagogicznego oraz internatów uniwersytetów ludowych i zobowiązali Zarząd TUL-u RP. do możliwie szybkiego uregulowania podstaw gospodarczych tych placówek w porozumieniu z władzami państwowymi.

W ciągu następnych dwu dni, a więc 2 i 3 marca obradowała Rada Wychowawcza TUL-u RP.

Wygłoszone zostały referaty na temat:

„Stan akcji uniwersytetów ludowych w chwili obecnej" — M. Zadróżny,

„Zadania Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych RP." — F. Popławski.

„Dotychczasowe prace uniwersytetów ludowych a potrzeby społeczno - kulturalne wsi" — K. Maj, oraz

„Wytyczne pracy wychowawczej uniwersytetów ludowych" — Wł. Radwan.

Do Prezydium Rady Wychowawczej zostali wybrani:

Józef Niećko — Prezes, Zygmunt Załęski — V-prezes, Dr Stanisław Cieślak — V-Prezes, Józef Ciota — Sekretarz, Zofia Solarzowa — Sekretarz.

W wyniki obrad powzięte zostały następujące uchwały:

1. Rada Wychowawcza TUL-u RP rozważała podstawowe zadania wychowawcze uniwersytetów ludowych oraz ich stosunek do potrzeb społecznych. Ruch ludowy wchodzi w nową fazę: na czoło jego zadań wysuwa się nie walka o społeczne wyzwolenie chłopa, lecz praca nad pełną realizacją w życiu wsi i narodu ideałów ruchu ludowego.

W pracy wychowawczej uniwersytetów ludowych winniśmy przez odpowiednią tematykę programów i odpowiednią atmosferę wychowawczą przygotowywać młode pokolenie wsi do nowych potrzeb.

W dzisiejszych czasach szczególnie ważne jest kształtowanie postawy duchowej, przygotowującej młodzież do walki z wstecznictwem i prądami totalnymi.

Winniśmy jednak przy tym pamiętać, że zgodnie z założeniami ideowymi naszej pracy wyrażonymi już w statucie TUL-u RP, racją bytu i roli społecznej naszych uniwersytetów ludowych, opartych o tradycje Grundtviga jest spotęgowanie życia duchowego i rozwój osobowości wychowanków.

2. W liczbie aktualnych zadań wychowawczych uniwersytety ludowe winny we współdziałaniu z zorganizowaną młodzieżą wiejską szczególny nacisk położyć na usuwanie z życia młodzieży ujemnych obyczajowo - moralnych skutków wojny. Oprzeć się tu należy o wysokie wartości moralne, wytworzone przez najlepsze elementy młodzieży w tragicznej walce z okupantem.

3. Uniwersytety ludowe w Polsce są wyrazem i częścią składową ruchu wyzwoleńczego wsi i winny mieć charakter instytucji społecznych. Władze państwowe popierać winny tę akcję ze względu na jej znaczenie dla kultury ogólno - narodowej.

4. W dążeniu do pogłębienia pracy uniwersytetów ludowych należy zwrócić szczególniejszą uwagę na zagadnienie właściwego doboru pracowników uniwersytetów ludowych oraz ich przygotowania i pomocy dla nich w dalszym samokształceniu.

5. Rada Wychowawcza uważa za wskazane zorganizowanie w środowiskach miejskich, zwłaszcza przy szkołach wyższych, ośrodków skupiających ludzi nauki i życia kulturalnego, którzy mogliby być pomocni dla prac uniwersytetów ludowych oraz dla wychowawców uniwersytetów ludowych w ich dalszym kształceniu się i w realizowaniu programu wychowawczego.

Organizacją tych ośrodków zająć się winni przede wszystkich członkowie Rady Wychowawczej na swoich terenach.

6. Dla umożliwienia w przyszłości stworzenia dostatecznie gęstej sieci uniwersytetów ludowych należy zabezpieczyć w każdym powiecie — w związku z wykonaniem dekretu o reformie rolnej — jeden ośrodek z odpowiednim obszarem rolnym — na uniwersytet ludowy.

7. Rada Wychowawcza stwierdza, że nowe uniwersytety ludowe zakładać należy tylko tam, gdzie będą odpowiednie warunki ich rozwoju.

8. Miejscowe Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych skupiać mają około sprawy poszczególnych uniwersytetów ludowych wszystkie związane z wiejskim ruchem odrodzeńczym czynniki oświatowo - wychowawcze, kulturalne, społeczne, i gospodarcze z terenu ich działalności, a więc: Koła Młodzieży Wiejskiej, spółdzielnie, Ogniska ZNP., Koła Samopomocy Chłopskiej, samorząd itd., oraz ludzi współdziałających z tym ruchem.

Na takich podstawach społecznych oparte miejscowe Towarzystwa Uniwers. Lud. będą mogły zapewnić uniwersytetom ludowym odpowiednio trwałe warunki rozwoju.

9. Gospodarstwa rolne przy uniwersytetach ludowych dostarczyć mają pomocy dla internatu uniwersyteckiego, jednak ich prowadzenie nie powinno obciążać kierownictwa pedagogicznego.

10. Pomoc czynników państwowych dla akcji uniwersytetów ludowych powinna znaleźć swój właściwy wyraz w tym, że Ministerstwo Oświaty zapewni pracownikom tych placówek etaty stwarzające im należyte warunki życia, a Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych przydzieli ośrodkom uniwersyteckim odpowiednie obszary rolne z zapasu ziemi, uzyskanego w wykonaniu dekretu o reformie rolnej.

Dalszą formą pomocy ze strony władz państwowych winny być subwencje na doskonalenie pracy uniwersytetów ludowych, kształcenie pracowników, pomoce naukowe, oraz na potrzeby gospodarcze.

W odniesieniu do bieżących potrzeb uniwersytetów ludowych Rada Wychowawcza wyraziła opinię, iż koniecznym jest natychmiastowe uregulowanie sprawy świadczeń rzeczowych, gospodarstw rolnych przy tych placówkach.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Redaktorze!

W związku z listem p. Józefa Spytkowskiego zamieszczonym w Nr 8 (36) „Wsi", proszę o wydrukowanie następującego wyjaśnienia, dotyczącego poranku pisarzy chłopów (zobacz „Wieś" Nr 6 (34) p. t.: „Poeta rabacji chłopskiej"):

1. Nieprawda jest jakoby czytana na poranku nowela Pogana p. t.: „Morowa baba" pisana była „czystą polszczyzną", jak sądzi J. Spytkowski, natomiast prawda jest, że w partiach dialogowych nowela ta zawierała wszystkie cechy gwarowe (wypowiedzi Franki, jej rodziców itd.). Kto zna zresztą dotychczas opublikowane w czasopismach nowele Pogana, łatwo może zauważyć, że „czystą polszczyzną" (słowa J. Spytkowskiego), t. zn. językiem literackim, nie są one pisane. Sama tematyka tych nowel, łącznie z „Morową babą", narzuca użycie gwary w mniejszym, czy większym stopniu. Język Pogana nabiera właśnie żywości i oryginalności przez ustawiczne sięganie do słownictwa gwarowego, dokładniej mówiąc, do dialektu z okolic Krakowa. I właśnie te fonetyczne cechy gwarowe noweli „Morowa baba" w recytacji p. Kowalczyka zostały oddane należycie.

2. Co się tyczy wiersza Stanisława Nędzy-Kubińca p. t.: „Do braci moik", nie uważam za stosowne aby ktokolwiek, (obojętnie czy p. Spytkowski, czy p. Kowalczyk), samowolnie pozbawiał wiersz tych jego właściwości, które przede wszystkim u Kubińca stanowią o jego oryginalnym i samorodnym pięknie. Przykro mi o tym wspominać, ponieważ p. Spytkowski jako znawca literatury ludowej zdaje sobie z tego chyba doskonale sprawę.

Twierdzenie p. Spytkowskiego, jakoby w pełnym brzmieniu gwarowym wiersz Kubińca nie mógł być zrozumiany przez słuchacza miejskiego, nie wytrzymuje krytyki: wiersz ten nie zawiera przecież w słownictwie takich wyrażeń, których by przeciętny miejski odbiorca poezji nie mógł zrozumieć. Co gorsza, czego nie pisałem poprzednio, wiersz Kubińca pozbawiony został w recytacji w kilku miejscach nietylko cech gwarowych, ale i obcięty w ten sposób, że wypadły z niego momenty najbardziej społecznie mocne, a zwłaszcza wspaniała pointa: „nase prawo, śleboda, ziém! Nie dajom, bierné sami!"

Ta daleko-sieżna amputacja spowodowała, że ten piękny, dynamiczny wiersz wypadł słabo.

Omyłka co do tytułu wiersza (nie „Drzewiej", tylko „Do braci moik"), która słusznie zauważył p. Spytkowski, w niczym nie zmienia mojego poglądu na kwestię wyrażone powyżej.

Uczciwość dziennikarska każe mi napisać narazie tyle.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Józef-Andrzej Frasik.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE

Jerzy Borejsza — A WIĘC WYBORY... — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1946, str. 23.

ŻYCIE LITERACKIE, dwutygodnik, Poznań Nr 3—4, rok II.

POLSKA SKRZYDLATA, luty 1946, rok II Nr 2 (9).

ŻYCIE SZKOŁY, miesięcznik poświęcony organizacji wychowania, nauczania, Toruń 1946, rok I, Nr 1.

OŚWIATA ROLNICZA, miesięcznik, Styczeń, rok I. Nr 1 Warszawa.

Prenumerata „Wsi" wynosi:

zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie.

Prenumeratę przyjmują:

W Łodzi:

Redakcja tyg. „Wieś", Łódź, Piorkowska 96, tel. 100-98;

Dział prenumerat „Czytelnika" ul. Piotrkowska 62, tel. 180-74.

Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 96, tel. 126-04.

Księgarnia „Czytelnika" ul. Piotrkowska 147, tel. 126-65.

Na prowincji:

Wszystkie agencje pocztowe na kontoPKO Oddz. w Łodzi Nr 815 — Kolporaż „Czytelnika", z zaznaczeniem: na „Wieś"

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 1-00-98 Redakcja rękopisów nie zwraca. Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 ½ kolumny zł 30.000, ¼ kolumny 15.000, 1/8 komumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł. za 1 mm na 1 szpaltę. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tygodn. „Wieś" Łódź, Piotrkowska 96, I p., telefon 1-00-98.

D—012016 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2.